

W numerze: EDWARD KOPCZYŃSKI *Baca* ● TERESA WOJCIECHOWSKA *II Łódzkie Spotkania Baletowe*
 ● JERZY RZYMOWSKI *Tadeusz Breza - wiedza i światło* ● IGNACY GUSTAW ROMANOWSKI *Wychodząc z pozorów* ● *Zewsząd o wszystkim* ● *Nowela kryminalna*

odgłosy



14. VI. 1970 r.
24 (656)
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII



JAN BĄBIŃSKI

Narodziny CEN TRUM

Wizytówką miasta są okolice dworca kolejowego.

Druga z dworca do centrum Łodzi wciąż jeszcze prowadzi przez wyjątkowo zapuszczone zaułki. Drewniak, odrapane kamienice, puste place, poszczerbione parkany i poobalane płoty. A jeszcze trzeba dorzucić do tego widoku szopy i budy z butwiejących i już na węgł poczerniałych desek. To jest pierwsze spotkanie z Łodzią.

Zaraz po przybyciu do Łodzi młody architekt Aleksander Zwierko został zaproszony na wywiad do łódzkiej telewizji. Był rok 1958 i gotowano się właśnie do zdecydowanego już szturmu na podmiejskie slumsy. W pewnej chwili dziennikarz zapytał: — Przybywa pan do nas z Wrocławia, jak wobec tego podoba się panu Łódź? Architekt był wyraźnie zaskoczony. Nie spodziewał się aż tak banalnego pytania.

— Odpowiem anegdotką — powiedział. W jednym z przedziałów ekspresu Kraków—Wiedeń dwóch panów spotkało dwie niewiasty. Jeden z nich zapytał szeptem: Która z nich ci się podoba? Ta przy oknie, jest prześliczna... Nie, mnie podoba się ta druga — usłyszał w odpowiedzi. — Niemożliwe, ta brzydka? No, tak, ona jest brzydka, ale jest wspaniale brzydka... Łódź jest dla mnie miastem wspaniale brzydkim. Tyle tu do zrobienia, że zostaje...

Piotrkowska jest szczęściem dla Łodzi. Po to, żeby zrobić zakupy trzeba biegać po całej Warszawie. Na Pietrynie kupi się wszystko. Piotrkowska, która ani myśli zgłaszać abdykacji z łódzkiego tronu, jest również nieszczęściem. Każdorazowe wypukowanie o kredyty, dotacje, inwestycje przez długi czas zbywano wzruszeniem ramion. Nowe centrum dla Łodzi? Jakie znów centrum? Czy jest gdzie w Europie wspanialsza promenada i większy deptak handlowy od Piotrkowskiej?

Ten punkt wskazano na planie miasta, którego ulice, jak w Ameryce, przecinają się wszędzie pod kątem prostym. Ulica Główna. Już sama nazwa, jakże pompatyczna, była kpina z zdrowego rozsądku. Bo przy tej głównej, rzekomo, ulicy rozsiadła się straszliwa brzydota. Stały przy niej, i wciąż zresztą jeszcze stoją, drewniane chałupinki żywcem jakby przeniesione z Wólki Dolnej w samo centrum

Dalszy ciąg na str. 4

KAROL BADZIAK

Człowiek z pociągu

Kto oglądał film „Wolne miasto” przypomina sobie drobny epizod z harcerzem. Kilku chłopców w mundurach Hitlerjugend zamalowuje smółką skrzynkę na listy Poczty Polskiej w Gdańsku. Widzi to polski harcerz i mimo, że jest sam decyduje się na interwencję. Zostaje ciężko pobity. Lat miał wtedy czternaście. Scena jest autentyczna, zdarzenie takie miało rzeczywiście miejsce. Harcerz ten po wkroczeniu hitlerowców do Gdańska został aresztowany przez Gestapo i skazany na karę śmierci. Ale tego w filmie nie było.

☆

Jechałem niedawno pociągiem z Koła brzegu do Gdańska. Siedział naprzeciwko mnie jednoręki mężczyzna. Zaczęliśmy roz-

mawiać, jak to w pociągu, najpierw o pogodzie, potem o sporcie, w końcu o sobie.

— Niech pan sobie wyobrazi — zwraca się do mnie towarzysz podróży — siedzę kiedyś wieczorem, radio nastawiłem na ultrakrótkie, wtem jakaś fala z językiem niemieckim włączyła mi się i słyszę konkretne życzenia. Niemiecki znam dobrze, słucham i uszom nie wierzę. Pada nazwisko Groening. Herman Groening. Ile ja bym dał za to, żeby tego faceta spotkać. Jeśli kogoś w życiu nienawidzę tak od serca, to jest nim właśnie pan Herman Groening. Myślałem, że już nie żyje, że zginał, że go wojna gdzieś przytłukła. To on aresztował moją matkę, nie mówiąc już, czego ja sam od niego doznałem. Oczywiście natychmiast powiadomiłem o

swoim odkryciu nasze władze. Główna Komisja do Badań Zbrodni Hitlerowskich zwróciła się do rządu NRF o odszukanie zbrodniarza. Odpowiedzieli, że nie wiedzą gdzie się taki obecnie znajduje. Ja wiem, znajduje się w NRF, sama kiedyś się tam wybiorę i go odszukam.

A oto historia człowieka z pociągu. Na zywca się Erwin Karczewski. Jego pradziad był powstańcem 1863 roku, pradziad żony również Dziadowie byli żołnierzami, ojcowie także walczyli. Rodzice Erwina Karczewskiego, kolejarze, mieszkali przed wojną w Szymankowie koło

Dalszy ciąg na str. 3



TRZY LATA minęły od agresji Izraela na kraje arabskie. Sześciodniowa wojna, w której napastnik oczekiwał nie tylko rozszerzenia swego terytorium, ale także obalenia władzy w Kairze i Damaszku, zapoczątkowała utrzymujący się po dzień dzisiejszy ostry konflikt. Drogi wyjścia z niego wskazała rezolucja Rady Bezpieczeństwa, ale agresor wciąż odmawia wykonania jej postanowień. Nadal okupuje zagarnięte przemocą ziemie arabskie, a ponadto wciąż prowokuje starcia militarne. Częstokroć dokonuje także wypadów samolotów bombowych, atakując cywilne ośrodki w sąsiadujących krajach. Choć więc formalnie obowiązuje zawieszenie broni — giną ludzie, trwa stan napięcia i o wybuch nowego płomienia wojny wcale nie trudno.

Trzyletni okres, jaki upłynął od izraelskiej agresji, wniósł wiele nowego w sytuację na Bliskim Wschodzie. Umościł militarne kraje arabskie, a zwłaszcza Zjednoczoną Republikę Arabską, pozwolił skutecznie odpowiadać na prowokacje Izraela, rozwinął palestyński ruch oporu, który stał się zorganizowaną siłą, uznawaną i wspieraną przez kraje arabskie.

Świat arabski, mimo dzielących go różnic, jest silniejszy niż kiedykolwiek, bardziej politycznie i społecznie jednolity. Jeśli przed trzema laty rządy postępować można było policzyć na palcach jednej ręki — dziś w mniejszości znajdują się rządy konserwatywne.

Nie bez znaczenia jest wreszcie i to, że coraz częściej izraelska polityka militarnych zaciepek — znajduje potęgę również krajów zachodnich, że sama wyizolowuje się...

Z tych to wszystkich powodów można bez przesady powiedzieć, że w 1967 roku Izrael wygrał zwycięstwo bitwe, przegrana natomiast wojna, którą sam narzucił.

W trzecią rocznicę agresji przeciwko krajom arabskim rejon bliskowschodni stanowi nadal niebezpieczne ognisko, a pokój ciągle jest jeszcze bardzo odległy.

* * *

W NAJBLIŻSZA NIEDZIELĘ — 14 czerwca w trzech krajach zachodniemieckich odbędą się wybory do landtagów (lokalnych parlamentów). W NRF przywiązuje się do tych wyborów wielką wagę — będą one bowiem sprawdzianem, w jakim stopniu koalicja SPD-FDP, jej polityka wewnętrzna i zagraniczna, cieszą się poparciem społeczeństwa. Partie rządzące, które dysponują nikłą większością w rządzie bawarskim, będą w wyborach tych szukały potwierdzenia swego mandatu do sprawowania władzy, partie opozycji natomiast — mandatu do kwestionowania polityki Brandta i Scheela.

Datę wyborów poprzedzi czwarta runda rozmów przedstawicieli rządów Polski i NRF, które tym razem toczą się w Bonn.

Jak gdyby w przygotowaniu do wyborów rozgorzała w NRF dyskusja nad polityką Brandta. W Bundestagu toczyła się gwałtowna debata, po której odbyło się głosowanie nad budżetem urzędu kanclerskiego. Opozycja zażądała głosowania imiennego, traktując je jako test. Budżet został zatwierdzony, ale większością zaledwie 6 głosów. CDU/CSU wykorzystują ten fakt do wykazania słabości rządu, który nie może — ich zdaniem — zmontować nawet takiej większości, jaką wybrano Brandta kanclerzem.

Gwałtowność dyskusji można uzasadnić jedynie nie celami propagandowymi przed niedzielnymi wyborami. Jest jednak faktem, że przepaść dzieląca rząd i opozycję nigdy jeszcze nie była tak głęboka, jak obecnie.

* * *

W KOMENTARZACH ŚWIATOWYCH dużo miejsca zajęła ostatnio Hiszpania. Przyczyną tego była wizyta amerykańskiego sekretarza stanu — Rogersa w Madrycie.

Amerykański polityk nie udał się do Madrytu jedynie po to, aby złożyć kurtuazyjną wizytę. Sprowadził go tam bardzo konkretne cele — ewentualne odnowienie układu o współpracy wojskowej. Na terenie Hiszpanii znajdują się bowiem pięć baz wojskowych Stanów Zjednoczonych. Porozumienie na ten temat podpisano w 1953 roku, wymagałoby więc odnowienia, a tymczasem Hiszpanie nie kwapią się z jego przedłużeniem. Więcej — w Madrycie pojawiły się głosy, czasem nawet oficjalne, o potrzebie prowadzenia przez Hiszpanię polityki bardziej niezależnej, wzorowanej na francuskiej polityce de Gaulle'a.

Reżim Franco wyizolował Hiszpanię, odsunął od wielkiej polityki, z wszystkimi negatywnymi tego skutkami. Ten krąg izolacji różne siły polityczne chciałyby przerwać. Jedne, wprowadzając kraj szeroko na tory polityki NATO, inne — uniezależniając się od Stanów Zjednoczonych, a wiążąc aktywniej z Francją, a nawet krajami Europy wschodniej. Nie może to nie nie pokoić Waszyngtonu. Pojechał więc Rogers z bardzo określonym misją. Jak się z niej wywiązał — dowiemy się wkrótce.

W. ŚLAWSKI

Zewsząd o wszystkim

Zewsząd o wszystkim

Kryzys w partii demokratycznej

Symptomy niezadowolonia

„BUSINESS WEEK” — NOWY JORK

Wielcy biznesmeni szczerze finansują partię demokratyczną, gdy rządziła ona jeszcze Białym Domem, obecnie nie śpieszą się z wpłatami na jej konto. W tym właśnie tkwi jedna z głównych przyczyn finansowego kryzysu partii.

Trudności demokratów znów wyszły na jaw przy okazji niedawnego zjazdu partyjnego w Miami z udziałem liderów partii, kiedy to w miejsce oczekiwanego miliona, zebrano zaledwie 300 tysięcy dolarów. Pieniądze te przeznaczone na pokrycie wydatków organizacyjnych partii, ale na spłacenie długu w wysokości 8 milionów dolarów znów nie ma ani grosza. Na przykład do dnia dzisiejszego partia demokratyczna nie opłaciła rachunku w wysokości 750 tysięcy dolarów za zorganizowanie zjazdu w Chicago. Inny dług, około 2 milionów dolarów, obciąża konto partii za kampanię przedwyborczą Roberta Kennedy'ego.

Natomiast narodowy komitet partii republikańskiej nie ma długów i może sobie pozwolić na wydatki sięgające 2 milionów dolarów rocznie. Nawet Georg Wallace, niefortunny kandydat na prezydenta w ostatnich wyborach, jest mocniejszy finansowo od demokratów.

Lista składkowa Wallace'a przynosi mu milion dwieście tysięcy dolarów rocznie. W porównaniu z jego waszyngtońską „kwaterą główną”, sztab demokratów wygląda jak „zlicytowane biuro”.

„Kiedy pozabawię cię władzy, od razu dostrzeżesz, kto jest twoim przyjacielem” — powiedział Fred Harris, zrzekając się stanowiska prezesa narodowego komitetu partii demokratycznej.

Dopóki demokraci znajdo-

wali się u władzy, biznesmeni chętnie dawali pieniądze, zabiegając o względy Białego Domu i osiągając konkretne cele. Teraz są gotowi, owszem, sięgnąć do portfeli, ale tylko dla jakiegoś realnego kandydata.

W związku ze zbliżającymi się częściowymi wyborami do senatu, narodowy komitet partii demokratycznej zebrał w ub. roku 806 tysięcy dolarów i ma nadzieję na otrzymanie jeszcze większej sumy w roku bieżącym, ale pod warunkiem, iż utrzyma w senacie większość demokratyczną. Biznesmeni są skłonni łożyć na parcie kandydatów, ale tylko tych, którzy mają szansę na sukces w wyborach. Świadczy o tym fakt, że demokraci zajmujący odpowiadające stanowiska państwowe mają nadal, tak jak i przedtem, ustabilizowane źródła dochodów.

Jednakże, ogólnie rzecz biorąc, demokraci mają duże trudności ze zbieraniem pieniędzy na rzecz partii. Ich możliwości maleją jeszcze i dlatego, że do republikanów należą aż 32 miejsca gubernatorów stanowych, na ogólną liczbę pięćdziesięciu.

Inną poważną przeszkodę w aktywizacji partii stanowi brak popularnego kandydata na stanowisko prezydenta. Demokraci mieli nadzieję, iż Edward Kennedy pomoże im zebrać 2 miliony dolarów, występując z cyklem spotkań z wyborcami. Ale program ten był realny do momentu tragicznej w skutkach katastrofy samochodowej, w której zginęła sekretarka Kennedy'ego. Obecnie Edward Kennedy został przesunięty na drugi plan, a inni senatorzy demokratyczni nie wzbudzają zainteresowania szerszych kręgów społeczeństwa.

Cena Olimpiady

„KONKRET” — HAMBURG

Dla monachijskich podnajemców mieszkań Igrzyska Olimpijskie, które odbędą się tutaj w 1972 roku, już się rozpoczęły. Pierwsza tura przyniosła im jednak tylko wielki zawód: wynajęcie mieszkania lub pokoju stało się prawie niemożliwe. Każdego dnia rośnie liczba osób pozbawionych dachu nad głową. Opłaty za wynajmowane lokale rosną wprost zawrotnie, a właściciele domów wykorzystują nadarżającą się okazję bez skrępowań. Brak mieszkań, zastraszający się w związku z przygotowaniem do Olimpiady, przemieniają się dla nich w brzęczącą monetę.

„Protestujemy przeciwko tyranii i samowoli właścicieli domów” — to hasło, spotęgowane przez megafony, toczyło się niedawno jak fala ulicami Monachium. W demonstracji wzięli udział przede wszystkim ci, dla których Igrzyska Olimpijskie w roku 1972 już dziś stały się prawdziwym koszmarem: ludzie starzy, inwalidzi, drobni rentierzy. Demonstrację poparły miejscowe organizacje demokratyczne.

Tego roku oczekuje się w Monachium „gorące lato”. Millardowe inwestycje olimpijskie nie są w stanie ukryć faktu, iż za fasadą olimpijskiego miasta odbywają się wielkie gry speku-

lacyjne, wywołujące wzburzenie społeczeństwa. Oto co mówią liczby: tylko w roku 1969 zaświadczono o bezdomności otrzymali aż 2434 rodziny!

W Monachium brak około 30 tysięcy mieszkań. Metr kwadratowy powierzchni mieszkalnej kosztuje 9 marek. Średnio zarabiającego mieszkańca miasta nie stać na taki wydatek. Pozostaje tylko nadzieja na budownictwo komunalne. Ale i tutaj kwitnie spekulacja. Domy budowane z funduszy państwowych, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, przemieniają się w nieruchomości prywatne. Lokatorzy takich domów są zmuszeni uciekać z mieszkań i natychmiast zjawiają się maklerzy, ofiarujący właścicielom swe usługi. Koszty procesów sądowych też nie są na kieszeń ludzi średnio zarabiających i armia bezdomnych rośnie z błyskawiczną szybkością.

Zamiast zahamować wzrost cen za mieszkania i ukrocić spekulację — władze wydały ogromne sumy na budowę urządzeń olimpijskich. Wprawdzie tu i ówdzie podnosi się jakiś alarmujący głos, ale pozostaje on bez echa. Niedawno nadburmistrz Monachium oświadczył publicznie: „Najwidoczniej nasz ustrój nie jest w stanie rozwiązać tego problemu”...

Poczynając od roku 1967 koła rządzące Tel-Awiwu nie ustają w powielaniu bajeczek o „niezwykłości” Izraela. Kiedy po niedawnych, następujących jedna za drugą, operacjach powietrznych i lądowych egipskich sił zbrojnych, rozwiła się ta legenda, władze izraelskie przy pomocy fałszerstw i kłamstw usiłowały wprowadzić w błąd opinię publiczną co do przyczyn egipskich sukcesów militarnych.

Rząd Goldy Meir celowo wywołuje w kraju atmosferę hysterii, by skonsolidować społeczeństwo izraelskie, zdradzające symptomy niezadowolonia, o których świadczą choćby niedawne demonstracje antyrządowe. Fakt ten potwierdziła ostatnia prasa brytyjska pisząc, iż Izrael wykazuje obecnie

„AL-ACHRAM” — KAIR

objawy wyczerpania, że władzom Tel-Awiwu trudno utrzymać zwartość własnych szeregów oraz, że państwo stoi w obliczu poważnego problemu powstania i umacniania się frontu wewnętrznego.

Z drugiej strony prasa brytyjska podkreśla, iż Egipcjanie coraz mocniej wierzą we własne siły, szczególnie po niedawnych pomyslnych operacjach militarnych w strefie Kanału Sueskiego.

Do sprzeczności ujawniających się w tonie społeczeństwa izraelskiego należy jeszcze dodać sprzeczności pomiędzy Izraelem a kołami syjonistycznymi niektórych krajów, jak również fakt, że w świecie rośnie liczba ludzi odwracających się od Izraela.

„Nowa strategia”

„BLITZ” — BOMBAJ

Nekany niepowodzeniami w Południowym Wietnamie oraz narastającym niezadowolaniem w Stanach Zjednoczonych, Nixon zdecydował się na awanturę w Kambodży, mając nadzieję, że zmiana układu sił w Azji południowo-wschodniej na swoją korzyść.

Już Johnson zrozumiał, że Ameryka przegrywa wojnę w Wietnamie, podobnie jak wysłanie półmilionowej armii nie dało efektów, na które liczył Pentagon. Nowy człowiek w Białym Domu postanowił zastosować swoją nową strategię: odnieść zwycięstwo nad narodem wietnamskim w... górach Laosu i dżunglach Kambodży. Eskalacja działań wojennych w Laosie nastąpiła tuż po przerwaniu bombardowań Północnego Wietnamu. Liczba powietrznych na lotów wzrosła pięciokrotnie. Dolina Amfor została objęta „strefą swobodnych bombardowań”, ciężkie bombowce „B-52” zaczęły zrzucać swój śmiertelny ładunek na każdy metr kwadratowy terytorium kontrolowanego przez Patriotyczny Front Laosu.

Jednakże przeciwnik odpo- uderzał tak gwałtownym uderzeniem, że amerykańscy wojskowi stracili wiarę we własne siły. Pod koniec marca oddziały Frontu Patriotycznego odzyskały wszystkie terytoria utracone poprzednio. Korzystne pozycje pozwalają im na rozwinięcie nowego uderzenia w końcu tzw. suchego sezonu.

Pentagon i CIA postanowiły wziąć odwet. Jego obiektem stała się Kambodża. Wymyślony przez Nixona pretekst do zmasowanego wtargnięcia do Kambodży:

zniszczenie mitycznego „sztabu generalnego” Narodowego Frontu Wyzwolenia Południowego Wietnamu — nie może nikogo wprowadzić w błąd. Amerykańscy dziennikarze i Międzynarodowa Komisja Kontroli nie wykryli tam ani Vietcongu ani „baz oporu”. Ale taki manewr wszedł już do tradycji amerykańskich prezydentów.

Swego czasu Johnson rozpoczął wojnę powietrzną przeciwko Północnemu Wietnamowi, ogłaszając go za zaplecze Narodowego Frontu Wyzwolenia Południowego Wietnamu. On też obiecywał swoim rodakom szybkie zwycięstwo w wyniku tego posunięcia, ale koniec końców był zmuszony przyznać się do swojej porażki.

Teraz Nixon zapewnił, że jego kambodżańska kampania jest obliczona na dwa miesiące. Zapomina tylko o jednym: ruch narodowo-wyzwoleńczy nie jest skłonny do liczenia się z planami, opracowanymi przez generałów z Pentagonu.

Spółczesność amerykańska ma podstawy, aby potęgować politykę swego rządu, który samowolnie udzielił sobie prawa do odegrania roli światowego żandarma. Korea, Wietnam, Laos, a obecnie również i Kambodża. Wszystkie te interwencje na kontynencie azjatyckim przynosiły Ameryce, i przynoszą tylko hańbę, upokorzenia i klęski. Dla trzeźwo myślących Amerykanów Wietnam i Laos były przez kilka lat koszmarem. Teraz ludzie ci widzą z przerażeniem, że wtargnięcie do Kambodży rozprzestrzeniło pożar wojny na cały Półwysep Indochiński.

W następnym numerze „Odgłosów”:

- ▲ KAROL BADZIAK — Plagi XX wieku
- ▲ ANDRZEJ MAKOWIECKI — Poniatoszczyk i psy
- ▲ ARKADIUSZ KŁOS — Odwiedziny z kosmosu oraz recenzje, felietony, nowele kryminalne

Człowiek z pociągu



Dalszy ciąg ze str. 1

Gdańska. Ojciec pracował jako dróżnik na szlaku Szymankowo—Kaldowo, matka na szlaku Szymankowo—Tczew. Ojciec był działaczem polonijnym, w 1934 roku kandydował do sejmiku powiatowego Wielkie Żuławy. Gorący patriota, prawy Polak, wychowywał swego syna w duchu miłości do ojczyzny. Erwin jako bardzo młody chłopiec brał udział w Kongresie Polaków w Berlinie. Reprezentował Związek Harcerstwa Polskiego.

Szymankowo — miejscowość położona na samej granicy Wolnego Miasta Gdańska, była najdalej wysuniętą polską placówką na Pomorzu Gdańskim. Polacy i Niemcy mieszkali tutaj obok siebie. Polacy tutejsi, na długo przed wybuchem wojny poznali brutalność hitlerizmu. Ojciec Erwina został aresztowany 5 czerwca 1939 roku pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Polski. Matkę w noc 23 sierpnia podczas pełnienia służby postrzelili w brzuch SA-mani.

Dla młodego Erwina wojna zaczęła się już o wiele wcześniej. Właściwie zaczęła się jeszcze przed aresztowaniem ojca, w kwietniu, kiedy to wracając ze szkoły napotkał młodych hitlerowców jak dewastowali polską skrzynkę pocztową. W Gdańsku były dwa rodzaje skrzynek, czerwone — poczty Wolnego Miasta Gdańska, zielone — Poczty Polskiej. Do zielonej skrzynki podbiegło czterech rozwydrzonych chłopaków z HJ, jeden trzymał wiadro ze smolą, dwaj zaopatrzeni w pędzle malowali, czwarty pilnował. Erwin najpierw zwrócił się o pomoc do policjanta, dopiero gdy ten nie zareagował, chwycił jednego z wyrostków za kołnierz, zaczęła się awantura. Początkowo nawet Erwin nieźle sobie dawał radę, trenował w „Gedani” boks. Zebrał się spory tłum, bił się fiesz, ktoś zrobił zdjęcie, akurat w momencie jak Erwin wymierzył cios w szczękę napastnika. W końcu jednak chłopek został pokonany, pobity, wiadro ze smolą wylano mu na głowę. Długo w domu nie mogli go domyć. Zanim jednak znalazł się w swoim mieszkaniu, ten sam policjant, który nie chciał przedtem interweniować, teraz zabrał go z sobą na komisariat. Młodzi hitlerowcy zbiegli. Spisano więc protokół, że pobili czterech spokojnych chłopaków niemieckich.

Nazajutrz gdańskie gazety niemieckie umieściły obszerne komentarze na temat zajścia. „Danziger Vorposten” dał tytuł: „Napad polskiego harcerza”. „Danziger Neueste Nachrichten” — „Mały bandyta”. Artykuły opatrzone były zdjęciem Erwina i relacjami „naocznych świadków”.

— Ojciec musiał zapłacić za mnie karę — wspomina dziś z uśmiechem Erwin Karczewski. Kupił mi nowy mundur i nawet nie krzychał, choć zwykle był wobec mnie bardzo surowy. Wiedziałem, że był ze mnie dumny, lecz mi tego nie mówił. Nie domyślał się wtedy, co nas czeka. Niebawem mieliśmy się przekonać jak okrutni i mściwi potrafią być Niemcy. Najpierw zabrali ojca, później dokonałi zamachu na matkę; była czwarta nad ranem, kiedy matka usłyszała sygnał przy szlabanie. Wyjrzała oknem, po przeciwnej

stronie stał samochód, siedział w nim nasz sąsiad Groening, przywódca miejscowej bojówki faszystowskiej. Matka wyszła przed dom, spostrzegła ludzi z bronią gotową do strzału. Chciała się cofnąć, nie zdążyła. Strzały padły szybko. Widząc co się dzieje, przezornie wyskoczyłem z domu przez okno, ukryłem się w pobliskich krzakach. Matka leżała na progu cała zakrwawiona, była ranna w brzuch. Bojowkarze ominęli ją, weszli do mieszkania, a ja wtedy pobiegłem do zawiadomy stacji po ratunek. Kiedy nadeszła pomoc Niemców już nie było. Zbiegli. Zanieśliśmy ranną na stację, za kilka minut miał jechać pociąg pośpieszny z Królewca do Berlina i tym pociągiem zamierzaliśmy odtransportować ją do Tczewa. Pociąg prowadzili polscy kolejarze. Wybiegłem na tory, założyłem alarmowe kapsle i stanąłem na środku, ażeby zmusić maszynistę do hamowania. Ekspres się bowiem w Szymankowie nie zatrzymywał. Maszynista zauważył mnie, pociąg stanął, przemieśliśmy mamę na noszach do wagonu. Niestety, pociąg ujechał zaledwie kilometr, gdy bojowkarze Groeninga napadli na maszynistę, wdarli się do wagonu, wykradli matkę i zabrali z sobą w nieznanym kierunku. Dowiedziałem się dopiero za kilka dni, że wywieźli ją do szpitala więziennego w Nowym Dworze. Ranną, postrzeloną dwukrotnie w brzuch bito i maltretowano, żądając podpisania fałszywych zeznań, jakoby została postrzelona przez polskich inspektorów celnych. Matka nie zalażała się, niczego nie podpisała. Dzięki pomocy jednego z niemieckich lekarzy i ofiarności pielęgniarek nie umarła. Zdołano ją uratować. Stała się później przed sądem niemieckim i skazana na karę roboty. Docekała wyzwolenia, lecz w kilka miesięcy potem zmarła. Ojciec też przeżył, zginął jednak w kilka lat po wojnie w wypadku kolejowym.

pierwszego września zamordowany z grupą ponad dwudziestu Polaków, kolejarzy i inspektorów celnych, których zastrzelili ludzie Hermana Groeninga. „Kordiana” Groening osobiście rozstrzelał. Zginęli wszyscy o trzeciej nad ranem, a więc na dwie godziny przed wybuchem wojny. Groening był gorliwy. Był to pierwszy lu dobieżył akt na Polakach w tej wojnie. Trupy wrzucono do dołu obok szalatu, a na wierzchołki wysypano furmanek gnoju.

Poprzedniego dnia otrzymałem polecenie przewiezienia tajnych akt z Piekła do Tczewa. Zadanie było niebezpieczne, ponieważ w okolicy pojawiło się mnóstwo „turystów”. O czwartej po południu wybrałem się z Szymankowa rowerem do Piekła. Tam miałem otrzymać paczkę z dokumentami. Na próżno zrobiłem jednak 23 kilometry. Piekło było już obsadzone przez oddział SS-Heimwehr Danzig. Szybko zawróciłem, po drodze zanocowałem w Matwach u znajomego gospodarza. Bardzo wczesnym rankiem pojechałem do Szymankowa. W domu było pusto, zdrzemałem się jeszcze na moment, obudził mnie hałas i ujadanie psa. Jak wyszedłem już nikogo nie było, pies mój, wierzny Ami, wisiał na drzwiach. Zdjąłem go, ułożyłem w krzakach bzu i uciekłem w pole. Stamtąd słyszałem strzały, głośnie obelgi, płacz kobiet. To bojowkarze mordowali Polaków. Chciałem przedrzeć się do Tczewa. Gdy znalazłem się blisko Wiśły most wysadzone w powietrze. Widziałem to na własne oczy, błędnie cały dzień po okolicy. Wokół słychać było strzały, po niebie krażyły niemieckie samoloty, z oddali dochodziły głucho detonacje. Pierwszy dzień wojny. Byłem sam, zagnany, głodny, odcięty od swoich, pozabawiony rodziców. Niewesoło mi było wtedy na duszy. Nie wiedziałem co z sobą począć, dokąd pójść. W końcu postanowiłem iść do naszego domku. Domek zastałem

Wkrótce z obozu zabrano mnie do Gestapo. Działo się to akurat wówczas, kiedy na wiecu niemieckiej ludności w Wejherowie gauliter Gdańska, Albert Forster, dał sygnał do eksterminacji, oświadczył: „Rodacy! W wasze ręce oddaję Polaków”.

Poczułem i ja tę „opiekę” na sobie. W dniu święta narodowego, 11 listopada 1939 roku stanąłem przed sądem w Gdańsku i zostałem skazany na karę śmierci. Zarzuty: przynależność do nielegalnej organizacji ZHP, akty sabotażu, napad na pociąg pośpieszny, napad na młodzież niemiecką, współudział w morderstwie, podawanie tendencyjnych wiadomości do polskiego radia i działalność szpiegowska.

U! Jak na 14-letniego „szczawika” zupełnie nie niezła porcja. Sam chciałbym teraz, żeby to była prawda. Ale wtedy niewiele z tego wszystkiego rozumiałem, wiedziałem tylko, że czeka mnie śmierć. To było straszne uczucie. Proszę zauważyć, że miałem dopiero 14 lat, byłem po prostu dzieckiem. W momencie odczytywania wyroku poczułem się tak, jakby ktoś położył krządek ołowiu na czaszce. Chciałem płakać, ale nie mogłem. Sucho w ustach, język suchy, poprosiłem o wodę. Jakiś strażnik zlitował się nade mną, dał mi szklankę wody. Zaprowadzili mnie do celi śmierci, gdzie dzień i noc paliło się światło. Pilnowany byłem bez przerwy jak najgroźniejszy bandyta. W celi zacząłem się mocno śmiać. Do dziś nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. Widocznie ja każda forma hysterii. Po jakimś czasie się uspokoiłem i czekałem już tylko jak mnie wywołają. Codziennie zabierano ludzi na egzekucję, gdzieś około drugiej w nocy. Jedni w ostatnim momencie krzykali: „Niech żyje Polska!”, inni „Matko Boska, ratuj!”. Krótkie serie na dziedzińcu i przez rażającą ciszę.

Któregoś dnia przyszli i po mnie. Nie chciałem iść, opierałem się, krzychałem,



Historia tej polskiej rodziny znana jest na Wybrzeżu, była wielokrotnie opisywana. Niewielu jednak autorów rozmawiało bezpośrednio z bohaterami. Opisywali na podstawie relacji osób trzecich. Zaden z nich po prostu nie sądził, że cała trójka przeżyła wojnę i docekała wolności.

— Co się z panem działo jak pozostał pan sam, bez rodziców? — pytam Erwina Karczewskiego.

Miałem przez ten tydzień aż do wybuchu wojny pełne ręce roboty. Byłem gońcem, donosiłem żywność do polskich placówek oraz przywoziłem tajne dokumenty celne. Zaopiekowałem się mną zastępca dowódcy placówki w Kaldowie — „Kordian”. Jego prawdziwe nazwisko — Józef Król. Pochodził najprawdopodobniej z Łodzi. Drugim moim opiekunem był „Konrad” — Jan Guderski. „Kordian”, zginął

pusty, otwarte okna, cisza. Ktoś mnie wypatrzył i doniósł Niemcom, gdyż nazajutrz zjawił się po mnie Groening. Na kazał się ubrać w mundur harcerski, wsaadził mnie do drewnianej klatki i powieźli wśród śmiechów i głośnie okrzyków przez wioskę. Od czasu do czasu ktoś mnie kijem dźgnął.

Odstawiono mnie w ten sposób do obozu przejściowego w Nowym Porcie. Komendantem obozu był Kurt Aiman, zwany „polską śmiercią”. Posługiwał się specjalnym pejcem, zakończonym otowianą kulą. Do moich obowiązków należało ten pejcz czyścić. Przewano mnie pucybutem. Niemal co godzina miałem zajęcie, czyściłem pejcz z krwi. Aiman chlubił się, że otrzymał kulę z jego pistoletu to wielki zaszczyt. Nazywał to „strzałami łaski”. Częściej zabijał knutem.

trzymałem się kurczowo sprzętów w celi. Mówili mi, że zabierają mnie do obozu w Nowym Porcie. Nie wierzyłem, nie chciałem umierać. Bałem się śmierci, i nie ma w tym nic chyba dziwnego. Wreszcie opadłem z sił, wyprowadzili mnie z celi. Okazało się, że rzeczywiście do obozu. Interweniowałem w mojej sprawie przedstawiciel Ligi Narodów i dzięki niemu zamieniono mi karę śmierci na zakład poprawczy. Skierowany zostałem do ośrodka wychowawczego w Szczecinku. Starali się mnie zgermanizować, zniemczyć, wychowywali w duchu karność, posłuszeństwa i pokory. Tak się starali, że aż ręce straciłem w tym ośrodku.

Rękę jednak łatwiej amputować niż po czucie narodowej przynależności.

KAROL BADZIAK

Narodziny CEN TRUM

Dalszy ciąg ze str. 1

prawie milionowej aglomeracji. Na obliczu Główniej są wypisane początki tkacko-przemysłowej Łodzi. A przemysłowe ośrodki z ubiegłego wieku, wszystkie prawie w Europie, to nic innego jak tandetne, monstrualne koszary poprzetykane fabrykami. Londyn był w drugiej połowie ubiegłego wieku handlową stolicą wszystkich kontynentów. Był też najbogatszym miastem najbogatszego wówczas państwa na świecie. A jednak w tymże Londynie powstały wówczas rozległe rejony na East-Endzie, zaludnione ceglany domkami, o najniższym z możliwych standardzie, ot takie famuły z Księżego Młyna w Łodzi, tyle, że powielane na kilometry obszarach.

Ten pierwszy wieżowiec nowego centrum Łodzi zaczął się wychylać z rozkopanej ziemi już pod koniec 1966 roku. W trzy lata później został ukończony. Ma 16 kondygnacji, pokoi w nim 330, a jeszcze recepcyjne gabinety, jeszcze konferencyjne sale, jeszcze pomieszczenia wystawowe. Przy Główniej chałupinki jeszcze stoja, choć już rzadziej. Z tyłu przeświecają wieżowce. Przyszłość i przyszłość Łodzi żyją tu w pozornej zgodzie. Obok pierwszego wieżowca wyskoczył już drugi, a trzeci sięga 10 piętra. Ciekawe, kiedy stanie tu czwarty gmach, który ma zadrzeć nosa na 20 pięter i będzie najwyższy w całym mieście.

Nie zdążyłem wymówić dwóch zdań, gdy do pracowni „Miestoprojektu” wpadł zaperzony mężczyzna i czerwony na twarzy, wołał już od progu:

— Chodź szybko do nas, bo się pożremy...

Aleksander Zwierko podniósł się od stołu i wyszedł. Nie specjalnego. Słyszana to rzecz, aby gdzie znalazło się dwóch architektów, całkowicie ze sobą zgodnych? Na tym drugim stole w pracowni rozciągała się miernie odrobiona wielka makietka nowego centrum przy Główniej. Sekretarka włączyła prąd. Wieżowce na makiecie rozblisły jasnym światłem. Do licha, przecież to jakby łódzka kopia warszawskiej Ściany Wschodniej. Zwierko wrócił. Na czym to stanęliśmy?

Nowe centrum to nie tylko wieżowce, w których rozsiadają się różne centra, różne biura i rozmaite przedsiębiorstwa. To również potężny ośrodek rekreacyjno-handlowy. Między wieżowcami, przed nimi i po ich bokach staną restauracje, domy handlowe, kawiarnie, domy mody, kwaciarnie, winiarnie, ba, pomyślano nawet o nocnym kabarecie. W samym tylko kombinacie gastronomicznym przy zbiegu Główniej i Piotrkowskiej, gdzie dziś „Jaś i Małgosia”, będzie miejsce dla 1200 konsumentów. W nowej łódzkiej „City” znajdzie zatrudnienie blisko 10 tysięcy osób.

Pierwszy 18-piętrowy wieżowiec stanął już przy Traugutta w rejonie Dworca Fabrycznego. To jest to drugie jakby centrum, choć z pierwszym połączone, które wyróżnia w kwadracie objętych ulicami: Sienkiewicza, Tuwima, Kilińskiego i Traugutta. Makietę już podziwiałem. Same wieżowce 16- i 18-piętrowe. Centrale handlu zagranicznego, hotele, ogromny dom handlowy. To już wielka architek-

tura. Panorama jak na Koszutkach w Katowicach. To już rzeczywistość muzyka zastęga w stali i betonie. Według mnie to drugie, dworcowe centrum przy Główniej i Piotrkowskiej i zdetraktywuje. To już uderzenie w jedną z najbrzydszych dzielnic Łodzi.

Pełzającą po ścianie windą wjeżdżam na szczyt ukończonego już w stanie surowym drugiego wieżowca łódzkiej „City”. Wjazd windą towarową na 16 kondygnację trwa minutę i kilkanaście sekund. Ile zaśpiewa ten wysoki dom z betonu, stali i aluminium? Trzeba będzie za zapłacić 42 miliony złotych. Francuskich królów słońca zrujnowała budowa Wersalu. Egipskich faraonów zrujnowały piramidy, Łodzi nowa „City” nie zrujnowa na pewno. Wybudowanie centrum przy Główniej zabierze około 250 milionów złotych. Cóż to dla Łodzi, miasta, którego roczna wartość produkcji przemysłowej zbliża się do 50 miliardów.

Był czas, że Łódź ogromną akumulacją z przemysłu zasilala odbudowę stolicy. Był czas, że Łódź wykarmiła wielką ilość wielkich inwestycji, rozsiłanych po całym kraju od Bałtyku po Tatry. Denerwujące to były lata. Łódź stała na bocznym torze. Nadszedł wreszcie i taki czas, że Łódź zaczęła też myśleć o sobie. Stanęła na tym, że w przyszłości Dworzec Fabryczny ma całkowicie zniknąć. Zredukowany do roli przystanku zjeździe pod ziemię. Podziemna kolej będzie w pewnej mierze spełniać funkcje wielkomiastowego metra. Ma przetrzącać pasażerów na Dworzec Kaliski, który stanie się za lat kilkanaście zbiorczym i centralnym dla całego miasta. Zrodziło się też wiele innych koncepcji całkowitej przebudowy śródmieścia.

Jestem na szczycie wieżowca.

Poranek jest czysty, słoneczny. Cisza i spokój. Tylko lekko szumi wietrzyk, ale gwar Piotrkowskiej tu nie dochodzi. Teraz dopiero, z dachu wieżowca, widać jak gesto jest to miasto zabudowane i jak w tej zabudowie panuje chaos. Zbita kotłownina budynków niskich i wysokich, z cegły i z drewna, stoł to wszystko bez ładu i składu. Muszą się tu jeszcze zmieszać wieżowce z ogromnym zapleczem handlowym.

Wyburzenia. Bez rozległych i kosztownych, niestety, wyburzeń, centrum przy Główniej, które ma oznaczać całkowitą przewrót w architekturze śródmieścia, zostanie tylko makietą w urbanistycznej

pracowni. Burzyć te solidne, choć stare kamienie przy Piotrkowskiej? Innej drogi nie ma. Trzeba będzie w krótkim czasie znieść 1500 izb mieszkalnych. Plany są gotowe. W Dyrekcji Inwestycji Miejskich rozkładano przede mną na biurku dokładne mapy z oznaczeniem budynków przy Główniej i na Piotrkowskiej, które pójda pod młotek w tym i w przyszłym roku. Większe wyburzenia przy Kilińskiego i Traugutta pod to drugie, dworcowe centrum, zaplanowano na rok 1972.

Stosowana w Łodzi metoda budowy wieżowców umożliwia wzniesienie 3 pięter w ciągu jednego miesiąca. Technika już jest. I to na tym najwyższym, światowym poziomie. Tylko, że brak organizacji. Przy Główniej buduje się w ciągu miesiąca jedno tylko piętro. A to brak słupków betonowych, a to brak stali, a to brak tego i owego, a już najboleśniej jest odczuwany brak okładzin z aluminium. Czeka się na nie już rok. Toteż budowa łódzkiej „City” jest opóźniona o kilkanaście miesięcy. W ogóle Główna jest jeszcze jednym z wielu dowodów na to, że nowoczesna technika wymaga też nowoczesnej organizacji i nowoczesnego sposobu myślenia. Nie znosi wahań, kunktatorstwa i niezdecydowania. Jeśli już wskazano punkt na mapie miasta, to trzeba ten punkt oczyścić z rud i chałupek. Rozmach jest potrzebny, dynamika w działaniu. Gmeranie w miejscu nie tylko denerwuje, co gorsza — demobilizuje.

Nowe łódzkie śródmieście — wciąż ciąży nad nim pytanie: kiedy, kiedy...?

Aleksander Zwierko zgarnął stos dokumentów z biurka i wyciągnął z szafki maleńki zwitek: To szkic już niemal historyczny, bo z 1956 roku. Obrazuje pierwszy wieżowiec, 12-piętrowy, pobudowany wtedy na Spornej. Szkic był robiony na brudno, grubym ołówkiem, a jednak w nie zmienionej formie przeszedł przez wszystkie zatwierdzające komisje i stanął jota w jotę jak na tym rysunku. Dlatego jestem optymistą...

Może istotnie sprawdzi się przepowiednia architekta?

Może wizja nowej Łodzi przyoblecze się w rzeczywistość? Przecież roboty są już podjęte. Wygląda na to, że Łódź zrzuci raz na zawsze swój garb z okresu rewolucji przemysłowej i że nie długo całe już śródmieście zyska kartę wstępu do klubu miast w pełni nowoczesnych. Szukając nowych dróg Łódź pnie

się w górę na coraz wyższe piętra. Przesuwa się wwyż. Za kilkanaście lat będzie już nie ta sama.

JAN BABIŃSKI



POLONICA

WINA NIEMIEC
HOHEN-
ZOLLERNOWSKICH

Paryski „Le Monde” z 17-18 maja zamieścił ciekawy przegląd nowych wydawnictw historycznych, dotyczących pierwszej wojny światowej. Zdzielim się tu tego artykułu, Andre Latreille, wojna wybuchła w 1914 roku wskutek polityki niemieckiej, zmierzającej do podboju Europy i hegemonii nad całym światem. Cele te przysięgł cały berliński rządowi przez cały okres wojny aż do załamania militarne go, mimo zastrzeżeń podnoszonych przez Austro-Węgry. Opinia publiczna II Rzeczy podzielała pangermańskie plany, uważając, że Niemcy są do roli przodującej predestynowane przez swój potencjał gospodarczy i wyższość kulturalną. Nie chodziło tu

jedynie o kilku fanatyków, marzących o „Mittel-leuropa”, „Mittelafrika” i Azji proniemieckiej. Między kanclerzem Bethmannem-Hollwegiem a generałami i junkrami nie było pod tym względem różnic. Także i „magnaci przemysłu” Zagłębia Ruhry (jak np. Tyssen) myśleli identycznie. Można by dodać do wywodów historyka, że intelektualistę (m. in. Hauptmann i młody Tomasz Mann) dawali w tych latach dowody zadziwiającego szowinizmu. Dyplomatyczne kłeski z 1905, 1911 i 1913 roku podniecały młodego Kaisera, który snuł plany zaanektowania Luksemburga, części Belgii i północnej Francji. Do piero w 1917 socjaldemokracja niemiecka zaczęła stawiać opór.

Dla poparcia swych ciekawych wywodów powołał się francuski historyk na fundamentalne dzieło prof. Franza Fischera „Cele Niemiec cesarskich w

1914-1918 roku”. „Zbombardowanie i spalenie polskie go Kalisza w pierwszych dniach wojny stanowi święte dectwo wymowne. Należałoby zaprosić jak najliczniejszych gości z Zachodu, by im pokazać planowaną w tym mieście wystawę: widoku Kalisza przed i po spalaniu w 1914 roku, na podstawie własnych zdjęć Wehrmachtu. Można by wznowić przy tej okazji wspaniały film Kutza „Sól ziemi czarnej”.

W. N.

(W. N.)

KSIĄŻKI POLSKIE
W KATALOGU
FRANCUSKIM

W stoisku wielkiego paryskiego wydawnictwa „Editions Gallimard” na międzynarodowych Targach Książki w Warszawie, widnieją w katalogu literatury zagranicznych — także i polskie dzieła. Na przykład: sztuki teatralne Stanisława Ignacego Witkiewicza w przekładzie Ja

FILM POLSKI
W BULGARII

23 polskie filmy krótkometrażowe zrealizowane w 1969 r. zakupiła bułgarska CWF i 10 telewizja. Widzowie bułgarscy będą mogli zapoznać się z takimi filmami, jak: „Etiopskie impresje”, „Rogalin”, „Gołuchów”, „Gdańsk”, „Port w Gdyni”, „Oto jaka jest Warszawa”, „Chopin w Paryżu”, „Bleoktryczność”.

Filmy te zostały wyprodukowane przez Wytwórnice Filmów Oświatowych i Wytwórnice Filmową „Czołówka”. Spośród zrealizowanych w 1969 r. filmów fabularnych Bułgaria kupiła film E. i Cz. Petelskich „Jarebina czerwona”, „Sasladów” A. Scibora-Rybskiego, „Strukturę kryształową” reż. K. Zanussiego i „Tylko umarty odpowie” reż. S. Chęcińskiego. Telewizja bułgarska przedstawi m. in. „63 dni” R. Wionczka, film J. Laskowskiego „Zbyszek” i L. Lorentowicza „Znicz olimpijski”.

Wielkim powodzeniem cieszą się w Bułgarii krótkometrażowe filmy dla dzieci. Zakupiono prawie wszystkie wyprodukowane w ubiegłym roku i przedstawione na styczniowym przeglądzie dla przedstawicieli krajów socjalistycznych.

B. M.

POLONICA

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Gazeta

W

powiatowym
mieście

str. 4

Ziemia Łódzka — to pojęcie współczesne i uformowane bardziej na użytek własny i trochę na wyrost. Historia nie zna takiego pojęcia, a obecny kształt województwa łódzkiego powstał w wyniku kilku, podejmowanych w różnym czasie administracyjnych decyzji. Stąd i waga, jaką przywiązuje się do wszelkiego rodzaju procesów integracyjnych. Jednym z takich czynników jest prasa lokalna.

Raz w tygodniu, w Pabianicach, Piotrkowie Trybunalskim, Radomsku, Łęczycy i Kutnie ukazuje się własna — powiatowa gazeta. W zasadzie są tylko trzy gazety: „Życie Pabianic”, „Gazeta Ziemi Piotrkowskiej” i „Ziemia Łęczycy”, ale dwie ostatnie wydają mutacje dla Radomska i Kutna: „Gazeta Radomszczańska” i „Wiadomości

Kutnowskie”. Powiatowe gazety docierają do czytelników 7 powiatów, gdzie mieszka 735 tys. osób — 45 proc. ludności województwa. Łączny nakład powiatowych gazet wynosi 30,3 tys. egzemplarzy. W Kutnie na tysiąc mieszkańców przypada 156 egzemplarzy lokalnego pisma, w Łęczycy — 127, w Piotrkowie Tryb. — 116, Pabianicach — 91 i Radomsku — 90.

1.

Lokalne gazety nie są wynalazkiem ostatnich lat. Wychodziły już przed wojną i były miejscowości, które miały ich po kilka, choć nakładem pochwalic się nie mogły. Były to najczęściej efemerydy o kilkutyślnym nakładzie. Współczesność nadała im inną rangę i znaczenie. Badania wykazały, że

jedną z funkcji lokalnej prasy jest wyrównywanie dysproporcji i niedostatków, jakie powstają w wyniku upowszechniania innych pism. Takie badania przeprowadzono w Łęczycy i Piotrkowie Trybunalskim. Ustalono np., że 85 proc. uczestników przeprowadzonej ankiety w Łęczycy czyta bądź „Głos Robotniczy”, bądź „Dziennik Łódzki”. W Piotrkowie Tryb. 94 proc. biorących udział w ankiecie czyta gazety wydawane w Łodzi.

Pisma lokalne biorą zatem ludzi, którzy nie mają jeszcze wyrobionego nawyku codziennego kontaktu z gazetą, a także ci, którym pisma wojewódzkie nie dostarczają maksimum wiedzy lokalnej. Wielu z nich stwierdza, że gdyby nawet miało swoją tygodniową porcję prasy powiększyć o nowy tytuł, to nie stałoby się to drogą rezygnacji z pisma lokalnego. Wniosek stąd prosty — pisma

lokalne odpowiadają na istniejące zapotrzebowanie wiedzy o najbliższym regionie. Czytelnicy prasy lokalnej są w zasadzie jednomyślni i wykazują brak zainteresowania problematyką zagraniczną, uznając, że tego rodzaju wiadomości powinna im dostarczać prasa codzienna.

Wyniki przeprowadzonych badań wykazują, że np. czytelnicy „Ziemi Łęczycy” i „Wiadomości Kutnowskich” za najpopularniejsze i zatem najbardziej czytane uznali rubryki traktujące o lokalnych i wojewódzkich wydarzeniach ubiegłego tygodnia. Natomiast czytelnicy „Gazety Ziemi Piotrkowskiej” i „Gazety Radomszczańskiej” — materiały historyczne oraz wiadomości społeczne i kulturalne. Słowem — to wszystko, co ich najbardziej dotyczy, co pogłębia ich wiedzę o regionie, informuje o jego życiu.

Baca

Wtedy, w czterdziestym drugim, mając lat siedemnaście, pracowałem jako robotnik leśny, za trudniony w nadleśnictwie (Oberforsterei). Takich jak ja, młodych chłopców pracowało tu kilkunastu, bo Wielka Rzesza ściągająca niewolników zewsząd, w myśl zasady, aby „wszystkie koła obracały się dla zwycięstwa”. Seinaliśmy drzewa, sypialiśmy w barakach, na drewnianych przydach, pod cienkimi zapchłonymi kocami i jadaliśmy równieź cienko. Z tamtych lat zapamiętałem głód. Nie ten głód, który wali człowieka z nóg, który go rozkłada na części (musieliśmy przecież pracować), a ten, który karze wciąż myśleć o jedzeniu, i w dzień i w noc, który karze wciąż poszukiwać czegoś, co nadawałoby się do jedzenia — ten wreszcie, który w czasie nocy, która powinna być wypoczynkiem, kazał nam śnić o kielbasach, maśle, pachnącym chlebie.

W grupie, z którą pracowałem był Baca, szesnastoletni chłopak. Baca był krepny, mocny, miał palakowate nogi, długie ręce i ładną twarz. Pochodził z Żyrardowa, z ubogiej rodziny i od trzynastego roku życia terminował u szewca w sporym zakładzie, w tymże miasteczku. Termin był lekki. Baca robił wszystko. Zamiatł warsztat, nosił wodę, trzepał dywany, bawił dzieci majstrowej i „skakał na jednej nodze” po papierosy, wódkę, po wszystko, co w warsztacie majstrowej i czeladnikom mogło być potrzebne. Z lat terminowania najlepiej pamiętał pociegiel. Raz dlatego, że w tamtych czasach bez pociegiel nie było szewstwa, drugi raz dlatego, że przykładano mu tym pociegiel za wszystko, na co sobie zasłużył i nie zasłużył. Dostawał pociegiel za nie wymięciony kurz z katów warsztatu, za to, że nie dość szybko wracał postany po to, czy tamto, za to wreszcie, że ktoś tam wstał lewą nogą, albo za to, że ktoś po przepieciu miał kaca.

Kiedy więc Baca przyszedł do nas, przede wszystkim chciał zapamiętać o pociegielu. Był chętny do roboty, do każdej przysługi, przyjazny dla każdego. Wybowany w mieście, i tylko w mieście, w szesnastym roku życia po raz pierwszy zobaczył wieś i las. Zachwycał się wszystkim: hucaniem gniazdem, wiewiórką i zającem, żytem w polu i wrzosem w lesie, wodą w jeziorze i żywicą kapiącą z sosen. Chłonał w siebie wszystko, jak gabka, dwoił się i troił, gotów zapłacić każdą cenę, za rzecz dla niego najcenniejszą, jaką mogliśmy mu w tamtych warunkach ofiarować: za przyjaźń. Miał naszą przyjaźń od początku. Powstała paradoksalna sytuacja. Baca w robcie dla wroga, w pracy ponad siły, dzięki właśnie tej przyjaźni odnalazł swoje człowieczeństwo. Razem z tym odnalazł w sobie radość życia — radość, na przekór tragicznej rzeczywistości, która nas otaczała. Od początku, w naszej grupie — jeżeli tak można powiedzieć — przyjął na siebie obowiązki tego, który nas bawił, rozveselał, podtrzymywał na duchu. Funkcję tę zaoferowaliśmy mu, kierując się instynktem życia, instynktem walki o przetrwanie, a Baca, może niezupełnie świadomie, funkcję tę przyjął i wypełniał ją znakomicie. Z całą odpowiedzialnością stwierdzam dzisiaj, po dwudziestu paru latach, że w najgorszych sytuacjach możność pośmiania się, dobry dowcip, pomagają żyć, pomagają zachować wiarę w lepsze jutro, bronią przed załamaniem się. Pracowaliśmy ciężko, jak starzy drwale, cały dzień przy siekierze, przy pile, jedne pęcherze goiły się, w ich miejsce powstawały drugie. Baca potrzebował zapłonu.

Zapłon przeważnie był taki:
— Baca, dasz radę?
— Dam.
— Z szerszeniami nie dasz.
— Dam.
— Bujasz.
— Dam radę.
— Bujasz, nie dasz.
— Dam.

I Baca wiał na drzewo. Patrzyliśmy na niego z dołu. Nogami opłatał pień sosny, chwytając rękoma odnogi i darł się w górę. Kiedy dotarł do gniazda, szerszenie miały tego dosyć. Usłyszeliśmy szum owadzych skrzydełek i zobaczyliśmy jak Baca broniąc się rękoma przed atakiem owadów, zjeżdżał po pniu w dół. Kiedy leżał pod naszymi nogami, mówiliśmy:

— Widzisz, Baca nie dało rady.
— Ano nie dało — śmiał się Baca. Cieszył się, że dał nam okazję do pośmiania się, do krótkiej chwili wypoczynku w otaczającej nas rzeczywistości.

Kiedy zdarzył się tamten wypadek była zima. Wróciliśmy z roboty o zmierzchu. Szliśmy duktem leśnym w ciężkim śniegu, przy parusopniowym mrozie, wtulając głowy w kołnierze kurtek. Niespodziewanie zobaczyliśmy za drucianą siatką, która odgradzała wyodrębniony teren hodowlany, gromadę saren i kozłów. Zwrócił się do nas, tak na oko, około trzydziestu sztuk i były nie dalej od nas, jak jakieś dwadzieścia pięć metrów. Chociaż był już zmierzch, widać było wcale dobrze, że zwierzęta są w doskonałym zdrowiu, wypasione, zadowolone z siebie. Oczar-

dziewana sytuacja walały wprost na siatkę, w odległości sześćdziesięciu, siedemdziesięciu metrów od nas. Baca, upojony chyba sukcesem, jaki według swego zdania odniósł w naszych oczach, pędził wciąż za nimi i wrzeszczał: bach, bach, bach. Uciekające zwierzęta, zbite teraz w ciasną gromadę, przed siatką rozpekły się, jak rozrywający się pocisk — kilka sztuk z biegu przesadziło siatkę, a jedna...

Sarna, jedna z większych, oszalała ze strachu, nie widząc chyba siatki, waleła w nią łbem, osunęła się po niej i leżała nieruchomo. Zrobiło mi się momentalnie gorąco. Z zabawy, z głupiej zabawy, podbarwionej na pewno naszymi marzeniami o najedzeniu się do syta, znaleźliśmy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, bowiem za kłusownictwo, za zabicie, czy schwywanie zwierzyny, takim jak my, ludziom ze Sklavenvolku groziła jedna kara: kara śmierci. „Uciec, odbiec stąd, wyciągnąć Bacę i uciec” — myśli, jak błyskawice przebiegały przez umysł. Spojrzałem w oczy chłopaków — rozumieliśmy się bez słowa, myśleli tak jak ja. Do siatki z tamtej strony zbliżał się Baca. Nie śmiał się, twarz miał poważną, ściągającą, oczy żywo błyszczące.

— Co teraz? — spytał i ruchem głowy pokazał sarnę.

Leżała tam, gdzie padła, nieruchoma, nie wydająca żadnego głosu.

— Wiać — powiedział ktoś.

— A ślady? — rzucił Baca.

Spojrzelśmy pod nogi. W śniegu można było wszystko odczytać, skąd przyszliśmy, ilu nas było, to, że jeden przelał przez siatkę.

— Trzeba zatrzeć jakoś te ślady — podsunął ktoś inny.

Józek, największy z nas, który wciąż szukał żarcia i wciąż był najbardziej głodny, powiedział z bólem w głosie:

— Tam leży kupa mięsa.

„Mięso, mięso, cała fura mięsa, patelnia z pieczenia, garnek z gotującym się mięsem” — zawirowało mi w myślach.

— Może by... rzucił ktoś nieśmiało.

— Może by to zabrać? — powiedział Baca wyraźnie.

Osiem par oczu patrzyło na siebie uważnie, jakby chciały zajrzeć do środka, do głębi każdego z nas, sprawdzić myśli, upewnić się, że nikt nie zawiedzie, że każdy zda egzamin odwagi, stanowczości w działaniu.

— Znam sposób schowania tego — powiedział Wojtek, o którym wiedzieliśmy, że pochodził gdzieś z Białostockiego.

Spojrzelśmy na niego z pytaniem w oczach, ale Wojtek niecierpliwie machnął ręką.

— Nie czas na wyjaśnienia — zdecydowanie, jeżeli bierzemy, to już. Czterech z nas musiał iść do baraków, musza powiedzieć, że zostaliśmy trochę dłużej przy robocie, tutaj starczy nas czterech i do zatarcia śladów i do wywindowania sarny na drzewo.

Widząc, że nie rozumiemy, rzucił gniewnie:

— Sarna pójdzie na drzewo, na wierzchołki brzezinek — to stary, kłusowniczy sposób.

W ten sposób Wojtek sprawę rozstrzygnął — pokusa na jedzenia się do syta była zbyt silna, przystąpiła niebezpieczeństwo, zresztą fakt był faktem, sarna zabiła się z naszej winy. Na przedce ustaliliśmy podział zadań. Na miejscu zostawili: Wojtek, Baca, Józek i ja, reszta szła do baraków. Baca ponaglony przez Wojtkę ruszył w kierunku sarny, ja z Wojtkiem, po tej stronie siatki również tam, a Józek zabrał się na do niszczenia śladów, do zacierania ich. Baca dźwignął sarnę za tylne nogi do góry, przysiadł i zarzucił ją sobie na plecy — potem — jednym ruchem, rzucił ją na siatkę. Czekaliśmy już z wyciągniętymi rękoma, odebraliśmy ciepły jeszcze ciężar, a Baca rozglądał się po śniegu, jak zatrzeć obraz tego, co się tutaj działo. Wojtek powiedział:

— Ściągnij kurtkę i zamiataj nią śnieg — usuń ślady swoich butów.
— Dam — powiedział zapalczywie Baca.

— Chwalisz się.
— To patrzcie.

Baca uczył się siatki przy słupku, spróbował raz oprzeć się nogami o oką drutu — nie udało mu się jednak — powtórzył zabieg jeszcze raz, już z powodzeniem, podrzucił się w górę i był za siatką. Zwierzęta stały, obserwując scenę na razie bez strachu — potem — kiedy Baca biegł do nich z ukosa, zbliżył się — zbili się ciałnie i poczęły iść truchcikiem w stronę rogu ogrodzenia. Baca pobiegł szybciej, zamachał rękoma i wrzasnął: bach, bach, bach. W zwierzęta jakby piorun strzelił, sprężyły się w sobie, sadziły teraz susami i ogulpałe niespo-

w razie czego jeden z was zagwiżdże. Idziemy w stronę brzeziniaka.

Wiedzieliśmy gdzie jest brzeziniak, ruszyliśmy z Bacą do przodu i śledząc uważnie wysoki las, w jakim byliśmy, posuwaliśmy się szybko naprzód. Po piętnastu minutach byliśmy na miejscu, już prawie po ciemku. Brzeziniak był gesty, poprzerastany świerkami i jałowcem. Wojtek rzucił sarnę i kręcił się chwilę między drzewami, potem wskazał pień brzezinki i powiedział do Baey:

— Dasz radę?
— Dam.
— Bujasz.
— Nie bujam.
— To wiać na drzewo.

Chodziło o to, by brzezinkę, która miała z pięć metrów wysokości, by jej wierzchołek ściągnąć na dół. Baca był już na drzewie, gdzieś na połowie jego wysokości i spuszczał do nas pasek od spodni, trzymając go w wolnej ręce.

— Trzymaj się. — rzucił do niego Wojtek.

Ciągnęliśmy. Brzezinka obciążona Bacą, ciągnięta przez nas, chyliła się do ziemi, ale za mało.

— Nie puszczaj paska, wiać wyżej.

Baca wiał wyżej i wrzeszcze mie- liśmy w rękach galezie, które pozwoliły nam ściągnąć na dół wierzchołek brzeziny. Baca dyszał po wysiłku, ale Wojtek znów go pogonił:

— Wiać teraz na to — wskazał drugą brzezinkę, obok rosnącą i dodał do mnie — Trzymaj tę pierwszą.

Trzymałem pierwszą, a Baca lał w górę na drugą. Beze mnie szło im trudniej, ale wreszcie wierzchołek tej drugiej był też na dole.

— Dawajcie sznurki.

Wyrzucaliśmy z kieszeni sznurki (zawsze coś tam takiego było), potem trzymałem oba wierzchołki, Baca trzymał na plecach sarnę, a Wojtek wiazał ją za tylne nogi do czubów drzew. Kiedy skończył, odsunął się trochę i polecił:

— Puść.

Puściłem, a sarna, cicho, jak duch, pojechała w górę. Patrzyliśmy na nią przez chwilę — ciemniała plamą na tle jaśniejszej smugi nieba.

Kiedy rano wyszliśmy z baraków, na podwórzu leżał nowy śnieg dziesięciocentymetrowa warstwą. Odetchnęliśmy z ulgą, a obraz mięsa gotującego się w garnku stał się bardziej realny. Oczekaliśmy pięć dni, go to w razie czego wyprzeć się wszystkiego, ale nie się nie działo. Szło go dnia, późnym wieczorem Wojtek kręcił się po baraku, lał z kąta w kął, nie mogąc sobie znaleźć miejsca, potem stanął, popatrzył na nas i rzucił ostro:

— Idę.

Czekaliśmy na to słowo, każdy z nas śnił po nocach o sarnie wiszącej na drzewie, ale nie umawiając się, Wojtkowi oddaliśmy w tej sprawie inicjatywę.

— Sam dasz radę?

— Przydałby się drugi, bo jest sporo roboty.

Poszedł z nim Baca. Uparł się, nie było żadnej dyskusji. Wrócili po dwóch godzinach, w parciej torbie przynieśli parę kilo sarniny.

Kiedy na brzezinach wisiała jeszcze ówiarka sarny, nadleśnictwo urządziło polowanie na dziki, z płaskami. My byliśmy nagonką, a jed-

no z pędzeń szło przez brzeziniak. Na linii, na dukcie leśnym stało dwunastu strzelców. Patrzyliśmy na nich, kiedy Forster tłumaczył nam, co mamy robić, jak iść, jak się zachowywać. Patrzyliśmy z zazdrością. Myśliwi byli wypoczęci, mieli zdrowe i czerstwe twarze, śmieli się i opowiadali sobie dowcipy: dwaj gestapowcy, trzech wojskowych, reszta leśnicy. Przedzieralem się przez brzeziniak, duszę miałem na ramieniu, a gdzieś na prawo od siebie Baccę. Trzy małe pieski, które były w miocie ujadły spokojnie, w trzech różnych miejscach, a ja modliłem się w duchu, by nie zwietrzyły sarny wiszącej na brzezinkach. Już miałem nadzieję, że wszystko skończy się dobrze, kiedy z miejsca gdzie wisiała sarna — nie miałem żadnej wątpliwości, że stamtąd — rozległo się wściekle ujadanie pieska. Znałem się już trochę na sprawach łowieckich, wiedziałem, że w ten sposób szeska piesek, kiedy znajduje w miocie zwierzynę — wiedzieli o tym również strzelcy na linii. Nie namyślając się wiele, nie wiedząc jeszcze co zrobić, ruszyłem do miejsca, gdzie ujadł piesek. Kiedy doszedłem, dyszałem z wysiłku, bo przedzieralem się, biegając prawie. Piesek, foksterier, skakał pod brzeziniakami, na których wisiała reszta sarny. Mimo zimna, społem się i wytarłem pot z czoła. Było jasne, że przy końcu całej historii, wpadliśmy przecieć pies stąd nie pójdzie. Skakał i szczekał jak wściekły. Szukałem gorączkowo jakiegoś pomysłu, kiedy niespodziewanie, cicho jak zjawą, pokazał się obok mnie Baca. Nie potrzebowaliśmy sobie nie mówić, wszystko było jasne. Patrzyłem na Bacę i jak automa, powiedziałem:

— Dasz radę?

— Dam.

Patryłem zdumiony. Baca odrzucił czapkę, zmierzwił rękoma włosy, ukląkł, oparł się na rękach, wyszczerzył zęby i szedł na „czterech łapach” do foksteriera, warezac równie wściekle jak tamten. Pies zaprzestał szczekania, cofał się przed Bacą, by jednak po chwili niespodziewanie zaatakować, ale Baca był na to przygotowany — na atak odpowiedział atakiem — podskoczył na „łapach” jakby rozszalała go wściekłość, wyszczerzył zęby jeszcze bardziej, wysadził oczy na wierzch i warknął takim głosem, że pies zgłupiał — podkułł ogon pod siebie i rej terował, oglądając się. Baca „szedł” za nim i pilnie śledził, czy aby tamten nie oprzytomnieć, a warezanie wydobywające się wciąż z jego pierśi było prawdziwą żądzą walki na śmierć i życie. Foksterier z daleka przystanął, patrzył zdumionymi ślepiami — widać było, że usiłuje polapać się w sytuacji, ale Baca nie dał mu na to czasu — warknął znów tak wściekle, że wreszcie piesek miał dosyć — z podkulonym ogonem i jakby mniejszy jeszcze ze strachu, pobiegł skowycząc żałośnie w głąb miotu.

Współczułem mu, nigdy przecieć nie widział takiego „zwierza” jak Baca.

Z opowiadań pt. „Kaczki powracają wiosną”, które ukażą się niebawem w wydawnictwie „Sport i Turystyka”.



Rys. E. Inglot

mi wyobraźni zobaczyłem sterczącą mięsa, całą górę prawie — potem konkretniej — zobaczyłem patelnie i smażącą się na niej sarninę. Obraz był tak sugestywny, że poczułem ślinę napływającą mi do ust, a jednocześnie doznałem fizycznego bólu, bo przecieć marzenie było nicosiagalne. Przelknąłem z wysiłkiem ślinę, jabłko Adama pojechało w górę i wróciło na dół, a ja, w pierwszym impulsie, powiedziałem do Baey:

— Baca, dasz radę?
— Dałbym.
— Bujasz.
— Nie bujam.
— Bujasz, nie dasz rady.
— Dam.

Spojrzałem na pozostałych chłopaków — było nas wtedy ośmiu — i zobaczyłem w ich oczach iskierki, które pozwoliły mi się domyślić, że musieli sytuację przeżywać podobnie do mnie.

— Nie dasz — powiedziałem twar- do i wydałem pogardliwe wargi.

— Dam — powiedział zapalczywie Baca.

— Chwalisz się.

— To patrzcie.

Baca uczył się siatki przy słupku, spróbował raz oprzeć się nogami o oką drutu — nie udało mu się jednak — powtórzył zabieg jeszcze raz, już z powodzeniem, podrzucił się w górę i był za siatką. Zwierzęta stały, obserwując scenę na razie bez strachu — potem — kiedy Baca biegł do nich z ukosa, zbliżył się — zbili się ciałnie i poczęły iść truchcikiem w stronę rogu ogrodzenia. Baca pobiegł szybciej, zamachał rękoma i wrzasnął: bach, bach, bach. W zwierzęta jakby piorun strzelił, sprężyły się w sobie, sadziły teraz susami i ogulpałe niespo-

JÓZEFA NETZEL

Zależność

w moim oddechu jest twój
wtedy jest pełnia
w moim drgnieniu jest twoje
wtedy jest szczęście
w moim spełnieniu jest twoje
wtedy jest sens
w mojej chwili jest twoja
wtedy jest światło

... lecz kiedy w nas nie ma nas
wtedy umieramy oboje.

Inaczej

Zdziwienie i moje usta
utopiłam w filiżance kawy

Wyłowione
inaczej odczuwają aksamit świata

Dnia 30 marca br. minęło lat 200 od chwili urodzin Fryderyka Hölderlina, znakomitego poety niemieckiego, działającego na przelomie wieku XVIII i XIX.

Hoelderlin urodził się w Wirtembergii w miejscowości Lauffen nad Neckarem. Ojca utracił wczesnie. Matka przeznaczyła go, wbrew jego woli, do zawodu duchownego, sądziła bowiem, że w ten sposób zapewni mu egzystencję materialną. Po ukończeniu szkoły średniej znalazł się tedy Fryderyk w słynnym „Tybińskim Instytucie”, warowni wirtemberskiego protestantyzmu. Tu zaprzyjaźnił się z Schellingiem i Heglem i przeniósł się do Berlina, gdzie walczył o reformy w literaturze i sztuce. Po ukończeniu studiów nie chciał atoli poświęcić się karierze duchownej i powziął, nieszczęśliwą, jak się później okazało, myśl, zarabiając na życie jako guwerner. Jednocześnie zamierzał się poświęcić poezji, którą uważał za swe powołanie życiowe.

Pierwszą posadę wyrobił mu Schiller, polecając go swej przyjaciółce, pani von Kalb zamieszkałej w pobliżu Jeny. Hoelderlin nie bawił jednak długo w jej domu, gdyż pani von Kalb, niezadowolona z niego, wypowiedziała mu służbę. Poeta przeniósł się teraz do Jeny, gdzie słuchał wykładów filozofa Fichtego, które wywarły na nim silne wrażenie. Krótki pobyt w Jenie był dla Hoelderlina bogaty w twórczość. Tu pisał swą powieść „Hyperion”, jedno ze swych głównych dzieł.

Po pewnym czasie objął nową posadę w domu bankiera Gontarda we Frankfurcie nad Menem. Bankier był typowym dorobkiewiczem, uznającym jedynie wartość pieniądza, a obojętnym na sprawy ducha. Pod maską światowca kryła się szorstkość, a nawet brutalność. Młodego guwenera, biednego poety, lekceważył, a nieraz nawet poniżał. Natomiast pani bankierowa, imieniem Zuzetta, była istotą zupełnie innego pokroju. Subtelna i uczuciowa, rozmiłowana w poezji i sztuce, zainteresowała się żywo młodym poetą, którego los sprawdzała do jej domu. Między obojgiem nawiązała się niebawem silna więź sympatii, która z kolei przerodziła się w płomienną miłość. Zuzetta stała się „Diotyumą”, wyidealizowaną kochanką Hoelderlina. Ale miłosna idylla nie trwała długo. Pan bankier przejrzał stosunek swej żony z pogardzanym guwenerem. Między oboma doszło do gwałtownej sceny, po której Hoelderlin opuścił natychmiast dom Gontardów i przeniósł się do pobliskiego Homburga. Tu zaopiekował się nim dawny znajomy, Izaak Sinclair, znajdujący się na służbie u homburskiego landgrafa. Był to człowiek światły, przesiąknięty ideami humanitaryzmu i hasłami rewolucji francuskiej. Wierzył w talent Hoelderlina i starał się ułatwić mu życie.

W Homburgu pracował Hoelderlin intensywnie. Ale jego środki finansowe zaczęły się wyczerpywać i ostatecznie zdecydował się

opuścić Homburg i powrócić do matki. Już w owym czasie zresztą zaczęły występować u niego objawy wskazujące na anormalność umysłową. Miewał okresy apatii i ośpienia, z którego trudno mu było wyrwać się. Po krótkim pobycie w domu, a potem w Szwajcarii, gdzie znów usiłował pełnić funkcję guwenera, wyjechał do Bordeaux we Francji, gdzie miał objąć funkcję nauczyciela domowego

zwykle wrażliwą i podatną na wzruszenia. Po chwilach uniesienia przychodziła głęboka depresja. Jego umysł miał zdolność do osiągnięcia niezwykle silnego napięcia. W tym stanie wchodził w górne regiony uczuć i idei, z których nie było już łatwego powrotu na ziemię. Stawał wobec wyższych sił przyrody, w których widział bóstwa. Dzięki temu poezja jego nabrała specyficznego charakteru re-

nić tu też należy odę „Do Niemców”. Poeta przedstawia w niej ówczesne, poniżające położenie Niemiec, ale zwraca się do „geniuszu” swego narodu z zapytaniem, kiedy jego myśli przemienią się w czyny. Nastrój nacjonalistyczny pa- nuje też w późniejszym hymnie „Matka ziemia”, w którym Hoelderlin nawiązał do patriotycznej liryki Klopstocka.

Spod pióra poety wyszła też powieść pt. „Hyperion czyli Pustelnik w Grecji”. Hoelderlin kreśli w niej tragiczne dzieje dwójki współczesnych Greków, którzy duchem żyją atoli w dawnej Helladzie i na próżno usiłują wskresić jej heroizm i piękno. Urok tej powieści nie leży jednak w jej wartości myślowej, ani nawet w przedstawieniu smutnych losów obojga kochanków, lecz w jej poetyckiej formie. „Hyperion” to wspólny liryczny poemat prozą, jeden z najpiękniejszych, jakie mamy w literaturze nowożytnej.

Za życia poety twórczość jego nie znalazła silniejszego oddźwięku, choć nie brakło i słów uznania. Z biegiem lat jednak działalność jego poszła niemal w zapomnienie. Dopiero po dłuższym czasie zaczęły podnosić się głosy upominające się o zaniedbanego poe-ty. I tak pod jego urokiem znalazł się Fryderyk Nietzsche. Dla właściwej oceny Hoelderlina przelomowe znaczenie

miało jednak dopiero studium Wilhelm Diltheya. Wpłynęło ono z kolei na poglądy poety Stefana Georgego i jego koła. On i jego uczniowie uważali Hoelderlina za jednego z geniuszów poezji niemieckiej. Teraz dopiero zaczęła się praca nad zbieraniem i uporządkowaniem jego spuścizny. Z kolei dostąpił jednak autor „Hyperiona” wspaniałego zaszczytu. Hitlerowcy uznali go bowiem za wieszczę przepowiadającego przewyższenie niemieckiej „mizerii” i przyszłe zwycięstwo triumfującej Germanii. Wywyższano go ponad Goethego i Schillera i sławiono ponad wszelką miarę. W zaciętej wrażliwości nie dostrzegano, czy też nie chciano dostrzegać, głębokiego, humanitarnego nurtu poezji Hoelderlina, któremu obca była brutalność, obce metody terroru.

Fala hitlerizmu opadła, nie zmniejszyło się jednak zainteresowanie dla poezji Hoelderlina. Przeciwnie, rozciągnęło się ono na kraje zachodnie docierając aż do Ameryki, gdzie zalicza go się do najwybitniejszych poetów nowożytnych. Nie brak zresztą i teraz egzaltowanych entuzjastów widzących w nim natchnionego maga i proroka. Wobec tego, niewątpliwie przesadnego, kultu zajmuje nauka marksistowska stanowisko powściągliwe i stara się sprowadzić znaczenie poety do właściwej miary.

ZDZISŁAW ŻYGULSKI

Fryderyk Hölderlin

(W dwusetną rocznicę urodzin)

go u konsula homburskiego D. E. Mayera. Od tej chwili zaczyna się niejasna karta w życiu poety. Z niewiadomych powodów opuścił nagle Bordeaux i wyruszył w drogę powrotną. Co się z nim działo podczas tej wędrówki, dokładnie nie wiadomo. Do domu matki powrócił w stanie żalonym, z wyraźnymi śladami obłędu. Ciężki stan trwał od wiosny do jesieni 1802. Sinclair, który uważał, że ten zły stan jest tylko przejściowy, zabrał go znów do Homburga. Poeta nie czuł się jednak dobrze. Unikał ludzi, pracował z trudnością, okazywał wielką drażliwość. W tym czasie stworzył jednak jeszcze wspaniałe hymny pt. „Patmos”. Symptomy choroby umysłowej mnożyły się coraz bardziej. Przewieziono go tedy do Tybingi i umieszczono w klinice dla umysłowo chorych. Przebywał tam przez rok. Następnie rodzina umieściła go w domu stolarza nazwiskiem Zimmer. Tenże oraz jego córka opiekowali się nieszczęśliwym troskliwie. Miewał on jeszcze niekiedy napady furii, zresztą jednak zachowywał się spokojnie. Otepienie atoli postępowało. Na świecie zapomniano o nim i uważano za już umarłego. Żył jednak jeszcze długo. Śmierć nastąpiła 7 czerwca 1843. Skończył cicho, bez cierpień, bez poprzedzającej choroby.

Jak dziwne i niezwykle było życie Hoelderlina, tak też dziwną i niezwykle była jego twórczość. Jako poeta był on przede wszystkim lirycznym i w tej dziedzinie wypowiedział się najpełniej. Jego liryka, refleksyjna i filozoficzna, nawiązywała do poezji Klopstocka i Schillera. Hoelderlin miał wysokie mniemanie o powołaniu poety, toteż nie bawił się nigdy igraszkami poetyckimi. Nie uderzał też nigdy w ton popularnej pieśni ludowej, nie uprawiał ani ballady, ani sonetu. Trzymał się form poezji klasycznej. Stopniowo znalazł swój własny wyraz i stał się poetą oryginalnym. Był naturą nie-

ligijnego, oczywiście nie w potocznym tego słowa znaczeniu.

Jego twórczość liryczna przeszła przez kilka faz. W Tybindze pisał — pod wpływem Schillera — swe pierwsze wielkie hymny, w których opiewał szlachetne ideały ludzkości: piękno, wolność, miłość. Liryka tego okresu jest dynamiczna, pełna entuzjazmu i rozmachu. Okres frankfurcki stał pod znakiem przyrody i wielkiej miłości do Zuzetty-Diotymy. Szczytowym osiągnięciem tego okresu był jednak hymn „Do Eteru”. Pojęcie Eteru jako bóstwa zawdzięczał Hoelderlin greckim filozofom i poetom. Była to właściwie personifikacja powietrza wypełniającego nie tylko obszar przyziemny, ale — jak sądzono — cały kosmos. Hoelderlin nazywa Eter swym „ojcem”, który „wychował go wiernie i żył liwie”. Gdy serce poety miota się i tęskni „ojciec Eter” spływa ku niemu niosąc mu ukojenie.

W okresie lat sześciu tj. od opuszczenia Frankfurtu, aż do drugiego pobytu w Homburgu, osiągnął Hoelderlin szczyty swego rozwoju. Utwory, które wtedy powstały, zapewniły mu to, tak wybitne miejsce, w dziejach poezji niemieckiej, jakie mu się dziś przysznaje. W elegiach i hymnach znalazły ostateczny wyraz jego poglądy religijne o zabarwieniu mitycznym i pantelstycznym, jego „walka o Chrystusa”, jego wiara w wielką przyszłość Niemiec.

Liryka tych lat jest jednak liryką trudną. Mamy tu do czynienia z ogromną kondensacją myśli. Niemal każde słowo nabiera głębszego, często przenośnego znaczenia, a dziwna terminologia nie ułatwia czytelnikowi lektury. Tok myśli wikła się często i gubi, co powoduje sprzeczności i niejasności. Po szczególne utwory mają nieraz po kilka wersji. Niektóre pozostały fragmentami, ale są wśród nich utwory tak znakomite, jak elegia „Chleb i wino”, jak „Archipelagus”, jak „Patmos”, jak hymny pisane do rzek oczyszczonych. Wymie-



Henryk Płóciennik: „Sad” — grafika

Przeszłość i teraźniejszość

Wydaje mi się, że dokonałem pierwszego w swym życiu odkrycia. Oto w wyniku mimowolnych wprawdzie, lecz długotrwałych badań przeprowadzonych metodą „obserwacji uczestniczącej” (jest ona wysoko ceniona przez socjologów) doszedłem chyba do wyjaśnienia zagadki polityki nakładowej naszych wydawnictw w dziedzinie książki historycznej. Gdybym miał pewność, że z książkami o innej tematyce jest podobnie, byłbym już zupełnie pewien, że dokonałem odkrycia na miarę Parkinso- na. Gdyby więc okazało się, że moje prawo obowiązuje także i w innych dziedzinach piśmiennictwa, a zwłaszcza gdyby kiedyś coś za- takie odkrycia dawał, pamiętajcie — proszę — o wynalazcy. Przecież wynalazki są teraz w modzie...

Otóż polityka nakładowa większości naszych domów wydawniczych nie jest bynajmniej dziełem przypadku ani widzi-mi-się edytorów. Rządzą nią nieublagane, ogólnie i wszechobowiązujące pra-

wo. Jest to „podstawowe prawo wydawnicze”. Brzmi ono jak następuje: „wysokość nakładu publikowanej książki winna być odwrotnie proporcjonalna do jej wartości”. W przekładzie na język potoczny znaczy to: im cenniejsza

książka, tym mniej egzemplarzy należy jej drukować, im słabsza — tym więcej. Ile to razy felietonista wchodząc do księgarni w poszukiwaniu świeżo wydanej ważnej książki spotykał się

z nieuchronną odpowiedzią: — niestety — proszę pana — już nie mamy. Tak było z pierwszym wydaniem znanej książki A. Micewskiego, z kalkowiek wyczerpanym dziełera o Hitlerze, którego nie omówiono na łamach „Odgłosów” z powodu... niemożności dostania egzemplarza i w wielu innych wypadkach. Mój konkurent z warszawskiej „Kultury” Andrzej Garlicki chwali gorąco — i słusznie — piękną książkę, ogłoszoną niedawno przez Władysława Chojackiego, mianowicie „Bibliografię zwartych druków konspiracyjnych, wydanych pod okupacją hitlerowską w latach 1939—1945” i jak najsluszniej powiada, że jest ona bezcenną pomocą dla badań historyków. Słusznie też dziwi się, że dzieło to ukazało się w nakładzie 2 tysięcy egzemplarzy, wskutek czego już w tydzień po ukazaniu się, stało się rzadkością bibliograficzną. Ale Polak mądry bywa na ogół po szkodzie. A ileż to było kręcenia nosem na tę książkę, ile pretensji i utyskiwań, zanim się ukazała? Wiem coś o tym, ale nie wiem — bo wiem „nie

oficjalnie”. Z własnej praktyki autorskiej też wiem, że największe nakłady uzyskiwały te książki, które kosztowały mnie najmniej pracy, zaś te, które cenił sobie najwyżej, opublikowano w znacznie mniejszej liczbie egzemplarzy.

Takie myśli nawiedzają mnie często przy lekturze publikacji z zakresu najnowszej historii Polski. Mam właśnie przed sobą tom pod tytułem: „W 50 rocznicę odzyskania Niepodległości. Materiały z seminarium ZMW w Sandomierzu 10—11. III. 1969”, opublikowany przez warszawskie wydawnictwo „Iskry” (1970). Brzydka oprawa graficzna, paskudny papier i nakład 5 tysięcy egzemplarzy dziwnie nie harmonizują mi z treścią tej publikacji. Zawiera ona niezmiernie interesujący zbiór wystąpień pracowników naukowych, działaczy i publicznych stów z seminarium zorganizowanego przez Związek Młodej Wsielskiej z okazji 50-lecia odzyskania niepodległości. Jak zaznaczono w przedmowie, ten niewielki tomik ujawnia „kryształujące się powoli nowe orientacje ideologiczne. Jest wyrazem

obudzonych niedawno i coraz natarczywiej manifestujących się potrzeb z naleźle- nia „swego miejsca na ziemi”, naleźle- nia zadań. Jak- kie wysnuć można także z historycznej retrospekcji. „Przynajmniej otwarcie—czyta- my na wstępie — dość dlu- go, może nazbyt długo, nasz stosunek wobec przodków, ich walk, upadków i wzo- tów, przewidującej mądro- ści i pomyłek był nieokre- ślony, raczej obojętny, czę- sto nawet sztywny”.

W referatach J. Chałasiń- skiego, B. Gołębiowskiego, M. Wojciechowskiego, D. Steyera i H. Siabka oraz glo- sach w dyskusji unaocznio- si raz jeszcze, że zaangażo- wania humanistów nie mie- rzy się ilością lakieru, czy — jeśli kto woli — wazeli- ny. Padło tu wiele słów gor- kich w słusznym przekonaniu, że „kształtowanie reali- stycznego obrazu poczynań naszych przodków, poszuki- wanie żywych więzi między- dążnościami kolejnych po- koleń, śledzenie myśli poli- tycznej przeszłości najlepiej przygotowują do głębokiego zrozumienia zawiloci real- iów dnia dzisiejszego. Doty- czy to zwłaszcza młodych lu-

dzi, wchodzących coraz szer- szą ławą w życie publiczne. Izolacja od przeszłości — podkreślono we wstępie — zanik „zmysłu historycznego”, jednostronne uwielbie- nie „życia dla życia”, powo- dują zagubienie intelektual- ne i moralne w płynnym po- toku zdarzeń cywilizacji współczesnej, sprzyjają kształtowaniu się postaw spo- łecznych, których rysem cha- rakterystycznym jest tak zwane „osłupienie współ- czesności”.

Niewielki ten zbiór dostar- cza wiele materiału do my- ślenia i dyskusji. Zawiera wiele sformułowań kontro- wersyjnych i wiele myśli no- wych. Daje świadectwo twór- czemu poszukiwaniu własne- go stosunku do przeszłości w warunkach jakżeż wiel- kiego skomplikowania ota- czającego nas świata i dla tego protestuje przeciwko formie, jaką tej publikacji nadało wydawnictwo i pod- noszą pretensje w sprawie zbyt niskiego nakładu. Tom- iku ten opublikowano bo- wiem w taki sposób, jak gdy- by chodziło tu o odfajkowa- nie rocznicy raczej wstydl- iwej.

JOZEF GRZELAK

TERESA WOJCIECHOWSKA

II Łódzkie Spotkania Baletowe

Wszystko zdaje się wskazywać na to, że Łódzkie Spotkania Baletowe są imprezą, która na stałe powiek szła grono festiwalu i przeglądów dorobku teatrów operowych. W tym roku, obok pięciu baletów krajowych, wystąpiły w Spotkaniach trzy zagraniczne: Balet XX wieku Maurice Bejarta, grupa solistów radzieckich i Opera Lipska. Występy tych gości uświetniły imprezę, podniosły jej rangę, a śledzącym całość dały wiele satysfakcji oraz skalę porównawczą, wycinkowy wprowadzie, ale zawsze obraz tego, co się w tańcu za granicą dzieje.

Największa rewelacja, obok nie zawodnej sztuki tanecznej, reprezentowanej przez mistrzów radzieckiej choreografii, obok wysokiego kunsztu wykonawczego baletu Opery Lipskiej, były występy zespołu Bejarta. Mieści się on wprowadzie w Belgię, ale skupia najwyższej klasy tancerzy z całego świata. To zespół solistów o technice doprowadzonej do perfekcji, tancerzy reprezentujących artystyzm najwyższej próby. To wreszcie balet reprezentujący najwyższe wartości tańca nowoczesnego, opartego o solidne podstawy szkoły tańca klasycznego, poszukującego dla formy modern nowych i współczesnych filozoficznych treści, nowych inspiracji w muzyce. Tańca przy orkiestrze, częściej — przy nagraniach z taśmy, co poza efektami estetycznymi, pozwala na prezentowanie muzyki w najlepszym wykonaniu, na przykład muzyki Bacha w wykonaniu orkiestry Brytyjskiego Stowarzyszenia Bachowskiego i solistów tej miary, co Elisabeth Schwarzkopf. Balet Bejarta jest zapewne jedynym tego rodzaju ewenementem w Europie, jeśli nie dalej, ale my żyjemy naszą codziennością, najbardziej nas interesującą i podziwiając słynnych gości, traktujemy Spotkania przede wszystkim jako przegląd naszego krajowego dorobku, naszych osiągnięć. Najbardziej interesowały nas więc występy baletu naszych teatrów, w chronologicznej kolejności występów podając: Państwowej Opery i Filharmonii Bałtyckiej w Gdańsku, Państwowej Opery Ślą-

skiej w Bytomiu, Teatru Wielkiego w Łodzi, Opery i Operetki w Bydgoszczy, Państwowej Opery im. Moniuszki w Poznaniu.

Opera Poznańska jest w tym układzie — jeśli tak można powiedzieć — operą macieżyzną. W ubiegłym roku obchodziła 50-lecie istnienia. Rozpoczęła działalność po I wojnie światowej, po latach germanizacji tamtych terenów i nie dziwnego, że nazwana nowym „bastionem sztuki narodowej” wystawiała przede wszystkim pozycje polskie, a z biegiem lat umacniając swą pozycję wzbogacała i repertuar. Wychowała wielu znakomitych solistów opery i baletu, po ostatniej wojnie niejednym z jej znakomitych wychowanków zasilili powstające w innych miastach zespoły.

400 premier operowych i balet-

cony, ukazujący przekrój możliwości i poszukiwań artystycznych. Od tańca nowoczesnego (Tempus Jazz 67 do muzyki J. Miliana i Wariacje 4:4 do muz. F. Woźniaka) po klasycznego „Ognistego Ptaka” I. Strawińskiego, „Sylfidy” do muz. Chopina itd., w pięknej pomysłowej dekoracji, oglądaliśmy zespół i znakomitych solistów tej miary co Olga Sawicka, Roma Juszkat czy Edmund Koprucki i innych. Osobiście najlepiej podobał mi się ten świetny zespół w balecie klasycznym, mniej w nowoczesnym, ale może to wina bezpośredniego sąsiedztwa w czasie z mistrzem tego gatunku — baletem Bejarta.

Drugą pod względem wieku jest Opera Śląska z Bytomia. To dawna nasza znajoma. Kiedy w Łodzi nie mieliśmy jeszcze własnej

wiacach, Zabrze i innych miastach Śląska. Ma za sobą 115 premier, w tym aż 33 baletowe. Widać więc, że do spektakli baletowych przywiązuje się w tym teatrze dużą wagę.

Opera Śląska nie boi się ryzyka i ma na swym koncie kilka polskich prapremier baletowych. Jedną z nich jest „Klementyna” Piotra Perkowski (kier. muzyczne — Andrzej Rozmarynowicz), którą pokazano w Łodzi. Mimo całej sympatii dla tego teatru, mimo uznania dla odwagi w wystawianiu dzieł, które nie sprawdziły się na innych scenach, niewiele dobrego można o „Klementynie” powiedzieć. Ciężkie, zagmatwane libretto (Ola Obarska), niezbyt porywająca muzyka, nieciekawe układy choreograficzne (Jerzy Gogół), które nie dały pola do popisu nawet głównym bohaterom (Joanna Szabelska, Jerzy Domagała) — oto wady tego przedstawienia, które było raczej przechodzone i przestane niż zatańczone. Nie wątpię ani przez chwilę, że balet śląski umie znacznie więcej i że mógł to pokazać na innych pozycjach. Szkoda, bo my na dalszej nieznajomości „Klementyny” nie byśmy nie stracili.

I jeśli już dalej mamy okazywać szacunek starszeństwu, to wy pada teraz powiedzieć o operze z Bydgoszczy. Liczy ona 14 lat, powstała w warunkach podobnych jak łódzka i gdańska, jako Studio Operowe i przez trzy lata działała bez własnego lokalu i zaplecza, grając gościnnie na scenie Pomorskiego Domu Sztuki. W 1959 roku Studio zostało upaństwowione i przemianowane na Państwowy Teatr Opery i Operetki. Niewielki to liczebnie balet, skupia 30 osób, ale ambicją dorównujący największym. Na poprzednich Spotkaniach zdobył bydgoszczanie uznanie „Legenda o miłości” Mielikowa, w tym roku zaprezentowali „Kamienny kwiat” Prokofiewa. Nielatwa, choć bardzo piękna muzyka znalazła kulturalnego wykonawcę w orkiestrze pod batutą Włodzimierza Ormickiego, a w Wiktorze Charczenko, od dwóch lat przebywającym w Polsce absolwentem moskiewskiej szkoły baletowej — twórczego, myślącego, pełnego inwencji choreografa. Libretto posłużyło Charczenko jako tworzywo, przepracował je według swojej koncepcji, zmieniając również w niektórych przypadkach kolejność muzyki.

Oglądaliśmy w ubiegłym roku „Kamienny kwiat” w wykonaniu baletu z Tbilisi. Wydaje się, że koncepcja Charczenki była znacznie bardziej interesująca, nowocześniejsza. Choreograf — jak sam powiedział — chciał w tym balecie pokazać pracę, ją chciał uczynić motywem przewodnim baletu, uważając pracę za jeden z najważniejszych elementów życia ludzkiego. Wydaje się, że ta sama zasada stosuje on do zespołu bydgoskiego. Piękne, bogate i efektowne układy taneczne były niezwykle trudne dla wykonawców. Tym większe dla nich uznanie za to, że podolali zadaniu. A na marginesie — tak pięknie wykonanych tańców rosyjskich nie widzieliśmy chyba jeszcze na scenach polskich. Więc słowa uznania dla solistów — Lidii Kowalskiej-Wrzeskiej, Kazimierza Wrzoska, Ewy Henke i Janiny Modzelewskiej, Zbigniewa Skrzeczki, wreszcie dla samego Charczenki, który również wystąpił w tym balecie. Jeśli ten baletmistrz poprowadzi zespół przez dłuższy czas, postawi go w rzędzie najlepszych w kraju, a już na następnych Spotkaniach może być rewelacją.

Zalążkiem Opery Bałtyckiej było również Studio Operowe, które działało przez 13 lat. W 1963 roku, po połączeniu Studia i Filharmonii, powstał teatr, który występuje w obecnej postaci, mając

siedzibę we Wrzeszczu i letni teatr (znany powszechnie z festiwalu sopockich) w Sopocie. Znajdujący się obecnie pod kierownictwem muzycznym Zbigniewa Bruna i choreograficznym Janiny Jarczyny-Sobczak, balet ma w dorobku 16 pozycji, na które skąd dają się również programy Baletu Miniatur — sceny eksperymentalnej, specjalizującej się w tańcu nowoczesnym.

Na dużej scenie Gdańsk przedstawił program składający się z „Błękitną Rapsodię” i „Amerykanina w Paryżu” Gershwina oraz „Pierwszy walc” według muzyki Jana Straussa. Reżyserem, inscenizatorem i choreografem spektaklu był Zygmunt Kamiński — być może przyjął na siebie zbyt duży trud, całość bowiem nie wypadła zbyt interesująco, a najsłabszą stroną przedstawienia była choreografia. Nawet tej miary tancerka co Alicja Boniuzsko nie bardzo miała okazję pokazać co potrafi. Niestety, nie widziałam Baletu Miniatur, nie wątpię, że jest to scena godna uwagi.

Jak na tym ogólnopolskim tle wypadła Łódź? Wydaje się, że nie ma powodu do kompleksów i zmartwienia. Ten najmłodszy w kraju, bo na dobrą sprawę funkcjonujący od trzech lat balet, znalazł się chyba gdzieś po środku ze swymi przedstawieniami „Romeo i Juli” Prokofiewa i bajką „Królowa Śnieżka” Pawłowskiego. Jak na trzyletni staż, nie jest to chyba źle, a za dwa lata, na następnych Spotkaniach, będziemy mogli wymagać już więcej.

Pozwoliłam sobie na krótkie omówienie historii powstania poszczególnych teatrów, występujących na Spotkaniach. Uczyniłam to celowo. Wydaje mi się, iż fakt, że mamy w kraju tyle scen operowych (jest jeszcze Warszawa i Kraków) jest symptomatyczny dla charakteru naszej kultury. A sposób, w jaki większość z nich powstawała, ze społecznej inicjatywy, bez odpowiedniego zaplecza, bez wymaganych powszechnie warunków, świadczy wysoko o ambicji i randze kulturalnej tych miast, ich społeczeństwa. Przecież z tych studiów operowych wyrósł poważny teatr, a ich poziom świadczy najlepiej, że mają rację bytu, że nie mają racji ci, którzy głoszą za jedną lub dwiema scenami operowymi w kraju, ale za to na najwyższym poziomie.

Zastęga Łódzkich Spotkań Baletowych jest szansa konfrontacji baletów tych teatrów, wyciągnięcia jakichś ogólniejszych wniosków o stanie polskiej choreografii i kierunkach jej rozwoju. Być może truizmem będzie jeśli powiem, że wszystko zależy od kierownika baletu, od jego ambicji, inwencji, zaangażowania. A jednak to wydaje mi się najsłabszą stroną naszych baletów. To co widzieliśmy w ciągu Spotkań mienięgo, nieciekawego, to była przede wszystkim słaba choreografia. Mało mamy widocznie choreografów, za mało kierowników baletu.

Sądząc po zainteresowaniu teatrów, nie mówiąc już o zainteresowaniu łódzkiej i pozalódzkiej publiczności (byli i goście zagraniczni), które wzrosło w stosunku do poprzednich Spotkań, ranga łódzkiej imprezy na pewno wzrosła. Warto tu przy okazji wspomnieć, że np. zespół bydgoski przygotował „Kamienny Kwiat” specjalnie z myślą o Spotkaniach, że na łódzkiej scenie odbyła się premiera tego baletu. Być może w przyszłości i inne zespoły będą czynić tak samo. Spotkania powinny być również jakąś formą rywalizacji w najlepszym tego słowa znaczeniu. A jeśli zauważymy, że jeszcze stolica — będzie to moment prawie wruszający. Niezależnie jednak od tego — czekamy na III Spotkania Baletowe w Łodzi.



Balet Bejarta — Germinal Casado w tańcu Bhakti

towych, wiele sukcesów zagranicznych, niezmiennie ambitni kierownicy artystyczni, niezmiennie ambitny repertuar obejmujący pozycje dawne i współczesne polskie i światowe — to wszystko złożyło się na fakt, że balet poznański jest dziś niewątpliwie najlepszy w kraju, kulturuje balet klasyczny, poszukuje również w sferze modern. Znajdujący się obecnie pod dyktando Mieczysława Nowakowskiego i kierownictwem choreograficznym Conrada Drzewieckiego zespół poznański zaprezentował w Łodzi, podczas dwóch wieczorów, program bardzo urozma-

sceny operowej, wakacyjne występy Opery Śląskiej wypełniały lukę na tym odcinku naszego życia kulturalnego, były dużym wydarzeniem artystycznym. Zwłaszcza, że miała ona znakomitych solistów, śpiewaków tej miary co K. Szczepańska, N. Stokowacka, B. Kostrzewska, F. Arno, B. Paprocki, A. Holski, A. Majak, a tancerzy — B. Bittnerównę, O. Sawicką, J. Kaplińską, W. Borkowskiego i in. Przyjeżdżali do nas co roku, jeżdżenie zresztą nie jest dla nich nowością, to wędrująca opera, występuje w Bytomiu, Katowicach, Bielsku, Cieszynie, Gli-

wie, które jakże często sprzyjają efemerycznym gustom drobnomieszczańskim. A wydaje się, że Bryll właśnie na czytelnika o tak mało wyrobionym smaku artystycznym liczy... Owszem trafiają się w tej, w gruncie rzeczy polityczno-obywatelskiej, pastorale aluzje w stylu „krzepko-kołodziejskim”, bazujące najczęściej na dwuznacznościach języka ludowego. Ale rzecz nie tylko do tego się sprowadza. Bryll sięga po najbardziej aktualne tematy i problemy naszej egzystencji ideologicznej. Wprawdzie nie nowego tu nie dopowiada — ideologia i rze-

czywistość, zdaniem poety, to dwie proste równoległe, które nawet nie przecinają się w nieskończoności... „Po górach, po chmurach...” jest wydane w luksusowej szacie graficznej, opracowanej przez Adama Kiliana. Dla czytelnika stanowi może bardziej rozrywkę, aniżeli pożywkę intelektualną. W każdym bądź razie warto sięgnąć po tę książkę.

Ernest Bryll, „Po górach, po chmurach”, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1969, s. 109.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

„Pastorałka”

Brylla

str. 8

Po „Rzeczy listopadowej” i „Kurdeszu” Ernest Bryll wydał trzecią rzecz sceniczną „Po górach, po chmurach...”, która kompozycją swoją przypomina staropolskie szopki i pastorałki. Odbiega ona, zarówno pod względem treści jak i formy od poprzednich dramatów tego autora, jakkolwiek Bryll i w tym utworze pozostaje wierny swej postawie zapoczątkowanej jeszcze w tomie wierszy „Sztuka stosowana”, a mianowicie patrzy na sprawy natury ogólnoludzkiej poprzez pryzmat kultury narodowej.

Tego rodzaju postawa wywołała

wiele kontrowersyjnych sądów; główny zarzut dotyczył się partykularnego widzenia patriotyzmu, mentalności i obyczajowości współczesnego społeczeństwa polskiego oraz tego, że Bryll jest nowym wydaniem poety dworskiego. I chyba „Po górach, po chmurach” ów sąd potwierdza. Faktem jest, że ta trzyaktówka o wiele bardziej przystosowana jest do warunków sceny, aniżeli poprzednie jego dramaty. Z kolei cieszy się ona słabszym powodzeniem publiczności w porównaniu z „Kurdeszem” i „Rzecz listopadową” ze względu na mniejszy ładunek aluzji politycz-

Tadeusz Breza wiedza i światło

Bolesnym ciężarem przytoczyła serca wielu tysięcy miłośników kultury wiadomość o odejściu jednego z niepodległych mistrzów piśmiennictwa polskiego. Myśl, że oto zamknęła się karta pisarska Tadeusza Brezy (31. XII. 1905 — 19. V. 1970), który piórem swym nie spełnił już, z niecierpliwością dziś oczekiwanych, nowych literackich dokonań — tę myśl pragnęlibyśmy od siebie oddalić. Pamięć o postaci twórczej Tadeusza Brezy nakazuje nam jednak przyjąć ten cios z tą dyscypliną ducha i z tym męskim hartem, jakie znamiono wale niepodległy intelekt autora „Spizowej Bramy”.

Droga Brezy do literatury wiedza przez doświadczenia myślowe i praktykę życiową w dwudziestoleciu międzywojennym. Wiedzę usystematyzowaną zdobywał na studiach filozoficznych w Warszawie i Londynie, uwiecznionych rozprawą „O pojęciu przeświadczenia („belief”) w teorii poznania Davida Hume’a”, a także podczas treningu naukowego, jakim był dla późniejszego pisarza nowicjat w klasztorze benedyktynów w Lophen koło Brugii (Belgia). Na praktykę złożyła się służba dyplomatyczna i dziennikarska. W latach 1929—1932 Breza pełnił funkcję, zrazu sekretarza wydziału prasowego, a potem attache ambasady polskiej w Wielkiej Brytanii. W okresie od r. 1933 do r. 1937 redagował dział kulturalny „Kurier Porannego”, dziennika grupującego sporo wybitnych pisarzy i krytyków, a od 1937 do 1939 r. był kierownikiem „Młodego Teatru” w Warszawie, placówki założonej przez Boya-Zeleńskiego dla propagowania polskiego dramatu i sztuki. Do zajęć tych powracał po wojnie: w latach 1945—1946 sprawował kierownictwo literackie „Teatru Starego” w Krakowie i współpracował z miesięcznikiem

„Teatr”, od 1946 do 1948 prowadził dział teatralny tygodnika „Odrodzenie”, lata 1955—1958 i 1961—1966 spędził na placówkach dyplomatycznych jako attache kulturalny w Rzymie i w Paryżu.

Pierwsze próby literackie Brezy powstawały na marginesie profesjonalnych zatrudnień autora, a mimo to już wcześniej zyskiwały uznanie, jak o tym świadczą nagrody na konkursach literackich Uniwersytetu Poznańskiego (1925) i Uniwersytetu Warszawskiego (1932). Wiersze, opowiadania, utwory satyryczne, felietony, recenzje teatralne i filmowe były dopiero przedmową do ksiąg prozy, którymi obdarzył swych czytelników w latach 1936—1961.

Pierwsza powieść Brezy „Adam Grywałd” (1936) ujawniła jego rzeczywiste powołanie, ukazując wyrazistą na tle pokolenia sylwetkę literacką — odrębną i niebanalną indywidualność twórczą. Myślę o generacji, jaka w drugiej dekadzie międzywojennej wzbogaciła literaturę polską, tak pod względem intelektualnym, jak i w zakresie odnowy sztuki pisarskiej. Myślę o rówieśnikach Brezy, którzy — ocaleni z potopu minionej wojny — dziś jeszcze w poważnym stopniu kształtują oblicze naszej współczesności kulturalnej, a których nieublagany los poczyna nam zabierać, przerywając w momentach nieoczekiwanych ich trudną pracę na rzecz narodu i humanizmu.

Debiut powieściowy Brezy zwykło się kojarzyć z psychologizowaną orientacją ówczesnej prozy, choć była to psychologia osobliwa. Osobliwa nie tylko dlatego, że spojrzeń ku życiu wewnętrznemu jednostki wydobywało fenomeny psychiczne graniczące z patologią, ale głównie z racji postawy poznawczej pisarza, pytającego o granice i wartość empirii. Weryfikacja poznania, autokontrola nie wolna od zasadniczych dla człowieka myślenia zwątpień, skłoniła autora do refleksji nad podstawami naszej wiedzy. W istocie bowiem w laboratorium prozy psychologicznej

Breza bada sprawy ludzkie z wyzynną filozoficzną kulturą.

Po „Adamie Grywałdzie” pisarz podjął pracę nad, nie opublikowaną, a znaną jedynie z dziesięciostronowego fragmentu, powieścią „Biała laska”. Podczas wojny przyjął do pisania, zakrojonego na dużą skalę, dzieła o Drugiej Rzeczypospolitej. „Mury Jerycha” (1946) i „Niebo i ziemia” (1949—1950) stanowiły częściową realizację tego ambitnego zamierzenia. Pierwsza z tych książek przyniosła autorowi nagrodę „Odrodzenia” i stała się kamieniem węgielnym jego sławy. Pod wieloma względami dylogia Brezy okazała się z czasem bardzo znamienną dla pierwszych lat powojennych, reakcją na klęskę przedwrześniowej Polski, choć ideowy i moralny rachunek wyróżniał się analizą realistycznego materiału, czynioną w poszukiwaniu rzetelnej wiedzy o mechanizmach politycznej władzy.

W opowiadaniu „Próby na nie” (1945) i w sztuce „Zamach” (1946), napisanej wspólnie ze Stanisławem Dygatem, podjął pisarz tematyczny okupacyjny. „Uczta Baltazara” (1952), „Jokk-Mokk” (1952), „W potrzasku” (1955) i nie dokończona powieść „Złota łódka” (druk fragmentów w r. 1954) są świadectwem zaangażowania Brezy w aktualne sprawy tamtych dni, ilustrują też ówczesne konwencje problemowe i literackie. Wydany w 1956 r. „Notatnik literacki”, obejmujący pu-

blicystykę z lat 1939—1954, pomieścił część dorobku krytyczno-literackiego i dziennikarskiego autora „Uczty Baltazara”. W roku 1960 ukazały się „Spizowa Brama” i „Urząd”, w rok później „Listy hawańskie” — zbiór reportaży z rewolucyjnej Kuby. Dwie pozycje roku 1960 to bestsellery wydawnicze, którymi Tadeusz Breza najistotniej zapisał się w literaturze polskiej.

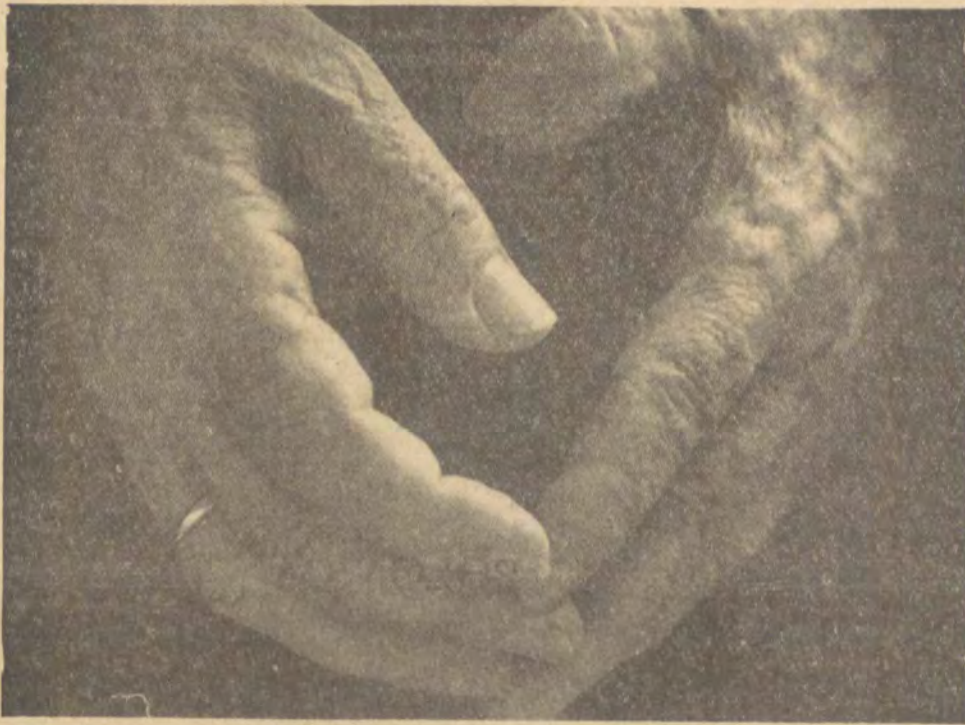
„Spizowa Brama”, eseistyczny dziennik dyplomaty, pisany z prężną inteligencją i ujmującą kulturą, jest sumą obserwacji i przemyśleń, notowanych podczas pobytu w Rzymie. Analizę watykańskiego trustu, jako szczególnej postaci wysocze zorganizowanej instytucji politycznej, przeprowadzoną w rzymskim notatniku, rozpiął autor na sytuacje fabularne w subtelnej prozie „Urzędu” — powieści o wędrówce człowieka przez kręgi biurokratyzowanego świata, który na Zatybrzu ucieleśnił ideał perfekcyjnej i wzorcowej konstrukcji.

„Spizowa Brama” i „Urząd”, odległe od standardowych kanonów literackich, zyskały sobie zasłużoną popularność wśród szerokich rzesz czytelników, co jest jeszcze jednym dowodem edukacji intelektualnej społeczeństwa i demokratyzacji kultury w minionym czterdziestku. Pisarstwo Brezy zostało wysoko ocenione przez wła-

dze państwowe; za zasługi dla piśmiennictwa polskiego otrzymał on m. in. Sztandar Pracy I i II klasy oraz Nagrodę Państwową I i II stopnia. Doceniono tę twórczość poza krajem; to de Gaulle powieści o autorze „Spizowej Bramy”: „Jest to umysł szeroki i ścisły, a jego dzieło ma dużą wartość”. Książki Brezy tłumaczone były na kilkanaście języków, doczekały się także adaptacji filmowych, teatralnych i telewizyjnych.

Odszedł pisarz ceniony przez wszystkich, którym droga jest literatura ojczysta. Na jakich racjach opierało się jego stanowisko filozoficzne i jakie były sekrety jego warsztatu, odpowiedzieć musi kompetentna nauka.

O artystach sceny mówimy, że mają swoje aktorskie „emploi”. Gdyby szukać odpowiedniej formuły dla sylwetki duchowej Tadeusza Brezy, to istotną prawdę jego postawy pisarskiej dostrzec by można w wyznaniu, jakie uczynił w artykule „Jak zostałem człowiekiem pióra”, pisząc o wielkiej „rozkoszy umysłowej” odczuwanej zawsze w kontakcie z dziełami myślicieli, w kontakcie z refleksją, rozumowym wywodem, dyskusją. Odszedł bowiem pisarz, który — jak to określił Włodzimierz Maciąg — „szukał wiedzy przede wszystkim i światła, a nie drogowskazu”. W tych zaś idealach zawiera się jakaś niepospolita wartość człowieka i literatury.



W wydanym niedawno w polskim tłumaczeniu zbiorze esejów Zygmunta Adamczewskiego, Polaka, wykładowcy na jednym z uniwersytetów w Kanadzie, pod tytułem „Tragiczny protest” autor pisząc o sztuce Arthura Millera „Śmierć komiwojażera” poddaje analizie cechy tragizmu ujawniając się w życiu współczesnego Amerykanina. Spośród wielu objawów Adamczewski wyróżnia zjawisko zagubienia się człowieka w tłumie ludzi zupełnie do niego podobnych, zjawisko zatracenia się czyli tragicznej utraty, zacierającej charakter ludzkiej egzystencji bo hatera sztuki, Willy Lomana.

Gdy patrzyłem na wystawiony w Państwowym Teatrze Powszechnym pierwszy pełnospektaklowy utwór Millera „Wszyscy moi synowie”, będący jego debiutem dramaturgicznym, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że przewijają się w tej sztuce motywy, które są zawiązką filozofii pisarza, rozwiniętą w pełni w „Śmierci komiwojażera”.

Tragiczny bohater „Wszystkich moich synów”, Joe Keller, podobnie jak Willy Loman ze „Śmierci komiwojażera”, ocenia życie tylko w kategoriach interesów, tak jak wielu podobnych mu businessmenów i to go prowadzi do zguby. Keller i jego współnik, Deever, jako właściciele dużego zakładu mechanicznego sprzedali władzom wojskowym partię popękanych głowic cylindrów do silników samolotowych. Rezultat transakcji okazał się przerażający: 21 lotników poniosło śmierć w „latających trumnach” z powodu defektu w produkcji głowic.

Kellerowi udało się wykretnie uniknąć odpowiedzialności karnej, natomiast jego współnik Deever został uznany przez sąd za winnego i osadzony w więzieniu. Jednak po latach nemezys wyciąga ręce również i po Kellerze, który usiłuje usprawiedliwić się przed synem: „Człowiek ma fa-

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Tragiczny protest

brykę, sto dwadzieścia głowic popękalo, zamykaj budę. Pracujesz określoną techniką, ta technika za wodzi, jesteś na bruku. Nie umiesz produkować, twoje wyroby są do niczego, zamkną ci fabrykę, podrą w strzępy umowy z tobą, guzik im na tobie zależy. Czterydzieści lat życia wpakowałeś w tę fabrykę, a oni w pięć minut mogą cię zniszczyć. Co miałem robić, oddać im czterdzieści lat pracy, całe moje życie im oddać?” Keller nie zdawał sobie w pełni sprawy, że transakcja z głowicami będzie początkiem jego tragicznego zagubienia się (inni postępowali mniej więcej podobnie), nie przewidział, że oceniając życie tylko w kategorii interesów, doprowadzi do rozbicia swej rodziny, unieszczęśliwi syna i ostatecznie będzie szukał wyjścia w samobójstwie. To, że Willy Loman ze „Śmierci komiwojażera” również popępnia samobójstwo wynika z założenia filozoficznego obu dzieł dramaturgicznych Millera, i nie na tym kończą się podobieństwa. Joe Keller popępniał samobójstwo, podobnie jak Willy Loman, na próżno, gdyż jest rzeczą oczywistą, że jego syn Chris nie zechce przejąć po ojcu dziedzictwa ugruntowanego na zbrodni.

We „Wszystkich moich synach”, pierwszej pełnospektaklowej sztuce Millera (jak wspominałem na początku), wizja artystyczna pisarza nie osiągnęła takiej siły wyrazu jak w „Śmierci komiwojażera”, niemniej — pomimo różnic tematycznych — podobieństwa światopoglądowe są uderzające. „Wszyscy moi synowie” są sztu-

ką wielowarstwową. W drugiej warstwie znaczeń pisarz występuje z gwałtownym protestem przeciwko spekulacjom handlarzy i producentów broni. Syn Joe Kellera, Chris, buntuje się przeciwko narzuconym mu uwarunkowaniom, w jakich się znalazł i które zlamaly jego młodość, odrzuca z oburzeniem argumenty ojca, dla którego dolar jest wartością nadrzędną i który nie zawahał się sprzedać wojsku wybrakowanych materiałów wojennych.

Miałem możliwość zapoznania się z pełnym tekstem utworu i przekonałem się, że tekst grzeszy rozwlekłością spotykaną nieraz u pisarzy konfrontujących swe pierwsze dzieło dramaturgiczne z wymogami sceny. Reżyser dokonał tu żo skróceń i skrótów, dzięki którym zarówno akcja jak i dialogi osiągnęły zwartość i dynamikę, zaś konstrukcja dramaturgiczna zyskała na przejrzystości bez uszczerbku dla koncepcji utworu.

Na pierwszym planie znalazł się self-made-man Joe Keller, który własnymi siłami dochrpał się majątku i znaczenia w hierarchii społecznej. Jerzy Przybylski w roli Kellera osiągnął wszystko, czego chciał autor, a mianowicie, potrafił przekonać widzów o zbrodni-czej lekkomyślności producenta broni liczącego na to, że odbiorcy jego głowic cylindrów do silników samolotowych zorientują się w ich defektach i odrzuca jego wybrakowane materiały, ale ponieważ dostarczył je w przepisanych terminach, a do katastrofy nie dojdzie, więc następna seria pro-

dukcyjna „zrehabilituje” fabrykę w opinii władz wojskowych. Stało się inaczej. Joe Keller był więc w kreacji Przybylskiego solidnym producentem broni, który zdziwił by się zapewne, gdyby z powodu jednej nieudanej serii sprzedanych głowic nazwano go potworem moralnym. Był to jednak po twór, nie pozbawiony dobroduszości, jowialności, a nawet pozorów ludzkiego ciepła. Precyzyjność sztuki aktorskiej Przybylskiego polega na tym, że potrafił on zachować pozory człowieczeństwa Kellera i uwidocznić, że „dana jest nam tylko częściowa świadomość skutków naszego działania”, póki tragiczne katastrofy i śmierć kilkunastu pilotów nie uzmysłowiły producentowi broni, kim był naprawdę i dokąd zaprowadziła go ślepa pogoń za dolarami.

Kate Keller, matkę wierzącą niezłomnie w szczęśliwy powrót starszego syna z wojny, grała Ja dwiga Andrzejewska, utrzymująca się w swym fanatycznym przeświadczeniu na granicy doskonale wyważonej hysterii przez cały pierwszy akt. Mniej przekonująco wypadły próby zjednania sobie George’a Deevera, syna wólnika Kellera. Czy nie należało dodać wobec niepożądanego gościa akcentów obudy do serdecznego przyjęcia, które zabrzmiało nieco sentymentalnie?

Postać nieprzejednanego w swym tragicznym proteście Chrisa Kellera przypada w udziale Andrzejowi Łagwie, który zagrał rolę młodego Amerykanina z sugestywną siłą oburzenia i buntu przeciw machinacjom ojcowskim.

Annie Deever to jedyna w sztuce Millera osoba dramatu, która może wzbudzać zastrzeżenia. Wprawdzie autor zapewnia nas, że „pewna dama z Middle West opowiadała mu o dziewczynie, która zadawała władzom ojca, sprzedającego armii wybrakowane materiały, ale jest rzeczą

znana, że przeważnie różne fakty i osoby, „wzięte z życia”, szeleszczą papierem. Nadomiar Annie Deever wnosi ze sobą motyw o sensacyjnym posmaku w związku z nieszczęsnym listem od swego zaginionego narzeczonego a syna Kellera, Larry’ego, który — jak się okazało — popępniał samobójstwo na wiadomość o aresztowaniu ojca (uniewinnionego dopiero, i to niesłusznie, w następstwie procesu sądowego). Teresa Kału da miała więc trudne zadanie i pomimo maksymalnego wysiłku, z jakim manifestowała nienawiść do swego ojca, Deevera, twierdząc, że nie chce mieć z nim nic wspólnego, niełatwo było to uwierzyć. W imię sprawiedliwości trzeba jednak dodać, że w scenach lirycznych z Chrisem, Kałuda jakby odmieniała potrafiła od należeć własny autentyczny wyraz ożywiających Annie Deever uczuć. Prawem kontrastu Bogdan Wiśniewski w roli brata Annie i obrońcy ojca, odbywającego karę więzienia, był w korzystniejszej sytuacji i wydobyl z tekstu wszystko, co miało niezaprzeczalną wartość dramaturgicznego poszukiwania prawdy.

W pozostałych rolach wystąpili Ryszard Sobolewski, Bogdan Kopciowski, Krystyna Froelich i Maria Wawrzczyk.

Reżyser Mirosław Szonert nie cofnął się przed szokującym, lecz uzasadnionym wagą i ostrością konfliktu brutalizmem sytuacji w scenach między ojcem a synem. Na uwagę zasługują pomysłowe dekoracje Elżbiety I. Dietrych: ogród i fasada willi jak z oleodruku w karmelkowych kolorach wzięte go wprost z ilustrowanego magazynu amerykańskiego. Właśnie takimi „słodkimi” fasadami rozgrywiają się amerykańskie tragedie.

Arthur Miller. „Wszyscy moi synowie” przekład K. Piotrowski. Reżyseria: Mirosław Szonert. Scenografia: Elżbieta I. Dietrych.

Wychodząc z pozorów

Sytuacja plastyka — projektanta przemysłowego nie należy u nas do najlepszych. Oficjalnie zawód artystyczny, w praktyce projektowanie przemysłowe sprowadza się do etatowego wykonywania czynności częstokroć zbliżonych do monotonnej pracy szeregowego konstruktora czy technologa. Stąd też liczba artystów podejmujących stałą pracę w przemyśle jest wciąż niewielka, jeśli weźmie się pod uwagę rzeczywiste potrzeby nowoczesnego wzornictwa przemysłowego.

Skądinąd wiadomo, jak niezwykle ważną rolę stoi przed projektantem form i wzorów użytkowych i jak rozległe możliwości penetracji artystycznej mogą tkwić w takiej działalności.

Szczególnie dotkliwie odczuwana jest przez artystów zatrudnionych w przemyśle bariera anonimowości, która oddziela projekt użytkowy — powielany i powszechny — będący własnością społeczeństwa, od twórcy tego projektu. Jest bowiem największym paradoksem, że najbardziej codzienny ślad działalności plastyka — ślad, z którym żaden człowiek żyjący w warunkach zwykłej cywilizacji współczesnej, nie rozstaje się nawet przez chwilę — po zostaje zazwyczaj poza światem domością społeczeństwa. Ze krata na naszej marynarce, krzesło, na którym siadamy, kształt zapalniczki, którą zapalamy papierosa — istniały najpierw w zamyśleniu, potem na rysunkach plastyka. Słowem, że forma i wzór przedmiotów naszej codzienności, nie są anonimowe, że kryje się za nimi inwencja twórcza i żmudna praca plastyka projektanta.

Oczywiście, trudno oczekiwać, aby wzór przemysłowy, będący w swym głównym założeniu projektem seryjnym go przedmiotu użytkowego, wywoływał taką emocjonalną reakcję, jak jednostkowe dzieło sztuki przeznaczone do odbioru wyłącznie arty-

stycznego. Nie o to chodzi. Ale wzór przemysłowy, który nierzadko poza swym funkcjonalnym przeznaczeniem jest jednocześnie szlachetną formą artystyczną, nie może wciąż znajdować się w wielkim cieniu rzucanym przez tzw. „sztukę czystą”. Bo właśnie na wzorze przemysłowym, a właściwie na jego twórcy, spoczywa główny ciężar estetycznego wychowywania społeczeństwa i kształtowania prawidłowych współczesnych gustów. I ta niezwykle ważna społecznie funkcja plastyka projektanta



Hanna Łabęcka-Dunajska. Rysunek żurnalowy

przemysłowego wciąż jeszcze jest doceniana w stopniu niewspółmiernie niskim do jej znaczenia. Sprzyja tej sytuacji również stosunek pewnej części środowiska plastycznego do sztuki użytej pracy, traktowanej w kategoriach XIX-wiecznego pogardzanego „zdobnictwa”.

Nie przeszkadza to przecież, że w przemyśle naszym pracują od wielu lat plastycy, którzy świadomie godząc się na anonimowość swojej pracy i możliwość niedoceny jej rezultatu, widzą w sztuce użytkowej i w projektowaniu wzorów masowych dużą szansę dla własnej indywidualności twórczej. Ze postawa taka jest niełatwa — już wiemy. Wiemy również, jak bardzo rytm codziennej nieraz monotonnej pracy stepa inwencje i zuboża indywidualną wrażliwość na formę, kolor i światło, i jak łatwo wtedy o artystyczny regres.

Indywidualna odporność na rutynizację jest różna i dlatego projektantom tak bardzo potrzebne są zajęcia plenerowe połączone z okresowym oderwaniem od ich codziennej pracy w przemyśle.

Te potrzeby doceniło Ministerstwo Przemysłu Lek-

kiego, które organizuje dla artystów zatrudnionych w tym resorcie coroczne kursy szkoleniowo-plenerowe.

Plenery projektantów przemysłowych, traktowane przez siebie przez wiele przed siebie przez dodatkowe dwutygodniowy urlop dla artystów, są dla wielu z nich jedyną okazją do poszerzenia wiedzy fachowej i odświeżenia wrażliwości artystycznej wciąż narażanej na stepienie w warunkach codziennej pracy. Jak bardzo plenery te się przydają, ile dają swoim uczestnikom, można było sprawdzić na organizowanych w Łodzi ogólnopolskich wystawach poplenerowych. Wystawy te, prezentujące przeważnie malarstwo olejne, były udziałem ludzi, dla których malarstwo jest w zasadzie działalnością amatorską a nie przedmiotem codziennej pracy. Mimo to ich poziom artystyczny nie odbiegał od poziomu przeciętnej wystawy ogólnopolskiej.

Wystawy takie mają być zadośćuczynieniem za codzienną anonimowość projektantów, tylko, że przedmiotem zadośćuczynienia jest w gruncie rzeczy twórczość niedzielną, nieprofesjonalną, a nie rzeczywisty malarstwo użyteczne w rozwój estetyki życia codziennego. Nie o to przecież chodzi, że na tych wystawach pojawiają się nazwiska wielokrotnych laureatów różnych konkursów artystycznych i eksponuje się świetne malarstwo Heleny Tchórzewskiej czy Edwarda Habasa. Dla malarzy jest to bowiem jeszcze jedna wystawa malarstwa więcej. Dla projektantów przemysłowych — jeszcze jedno, nie stety, potwierdzenie opinii o ich niezbyt jasnym statusie twórczym. Łatwiej jest, jak widać, zorganizować wystawę z dwutygodniowego pleneru malarstwa nieprofesjonalistów, niż częściej prezentować efekty właściwej pracy projektantów przemysłowych.

Doceniam znaczenie plenerów i wystaw poplenerowych. Wystawy są potrzebne w ogóle.

Tylko, że dla twórców sztuki użytkowej będzie to nadal ślepa uliczka, dopóki nie zapewnimy im okresowych wystaw projektantów — dzieł ich codziennej trudnej pracy. Dzieł, których się nie musza wstydzić ani pokrywać anonimowym milczeniem.

* Ogólnopolska Wystawa Prac Poplenerowych Plastyków Projektantów Przemysłu Odrzutowego — Salon Sztuki Współczesnej w Łodzi — luty 1970 r.

* VII Ogólnopolska Wystawa Prac Poplenerowych Projektantów Przemysłowych — Ośrodek Propagandy Sztuki w Łodzi — maj 1970 r.

OBIEKTYW

Okrutna ballada o stręczycielce

Na zapowiedzianą w telewizji premierę „Celestyna” Fernanda de Rojas sporo osób czekało z żywym zainteresowaniem. Przede wszystkim ci, którzy pamiętają jeszcze prapremierę polską tego dramatu.

Młodszy warło przypomnieć, że miała ona miejsce właśnie w Łodzi prawie dokładnie przed 23 laty, bo 24 maja 1947 roku. Reżyserem i inscenizatorem był Leon Schiller, a odtwórczynią tytułowej roli — Jadwigą Chojnacką. W ciągu trzech sezonów teatralnych, które spędził po wojnie w Łodzi, Schiller wyreżyserował dziesięć przedstawień. Z tych dziesięciu pięć premier stanowiło wydarzenia artystyczne w skali krajowej: „Krakowiaczy i górale”, „Burza”, „Igraszki z diabłem”, „Kram z piosenkami” i właśnie „Celestyna”.

Jest to utwór hiszpańskiego Renesansu, pisany właściwie nie dla sceny, choć w formie dialogowej. Podzielony był przez autora na 21 aktów. Wystawienie go w całości było niemożliwością. Schiller sfinalizował do XX-wiecznej adaptacji scenicznej „Celestyna” autorstwa Marcela Acharda.

Przedstawienie było — pamiętam jak dziś — wielkim wstrząsem, głównie ze względu na znakomicie wydobytą atmosferę Hiszpanii pod rządami Świętej Inkwizycji i na wielką kreację J. Chojnackiej. Postać starej rajfurki, żerującej na ludzkich namietnościach, tumaniającej magicznymi zaklęciami, echiweł, okrutnej, przetrwanej, nabrała w wykonaniu aktorki miary niezwyklej. Stała się symbolem zła i występku.

Utwór Rojas ma ponurą wymowę filozoficzną. Jest gęsty, jak maść eucharystyczna, ukazuje świat we władaniu niekczemności, nie pozostawiając miejsca dla ludzkiej nadziei. Bo choć Celestyna ginie z rąk swych współników, choć sprawiedliwość jest pozornie wymierzona, to przecież miłość Melibe i Kalkista zostaje zbezczeszczone i zniweczona, a triumfuje mroczny porządek Inkwizycji. Widz opuszczał więc teatr przybity, jednocześnie jednak wewnętrznie skonolidowany w swym osadzie występu.

Wielką była siła schillerowskiego przedstawienia. Nie w pełni udało się powtórzyć ten sam efekt w dziedzinie późniejszej na deskach Teatru Powszechnego, choć w roli tytułowej wystąpiła ponownie J. Chojnacka. Skoro więc telewizja zapowiedziała wystawienie „Celestyna” w ramach teatru poniedziałkowego, ciekawymi byliśmy nowej edycji tego dramatu.

Jan Kłossowicz i Tadeusz Minc dokonali własnej adaptacji powieści Rojas, nie kępując się przeróbką Acharda. Nie zagłębiając się w gąszcz epizodów i ubocznych wątków, adaptatorzy skupili się na splecionych ze sobą dwóch wątkach zasadniczych — wątku Celestyny i losach miłości Melibe i Kalkista. Akcja uległa w ten sposób znacznej kondensacji, choć nie uniknięto przy tym pewnego wyzłozowania jej z szerszego kontekstu społecznego i obyczajowego.

Minc jako reżyser i autor spektaklu skupił się głównie na sprawach miłości, eksponując je śmiało wzorem współczesnego kina. Tak wprost przekazywanych scen erotycznych nie widziałem chyba dotąd w naszej telewizji. Oczywiście jednak nie o prezentację seksu chodziło reżyserowi. Igraszki miłosne służyły wypowiedzeniu pewnych ogólniejszych treści.

Ekran ukazał nam jak gdyby dwa oblicza miłości, pozorne przeciwstawne, a w gruncie rzeczy tak ze sobą związane, jak dwie twarze Geminusa. Jedną afektowaną, czystą w intencjach, uciekającą się do poetyckich zwrotów, reprezentuje Kalkist i Melibe. Rzecznikiem drugiej postawy, dosadnej, w której dominuje bez reszty fizyczny, jest natomiast sama Celestyna. Powiedziałem, że antynomia tych postaci jest pozorna. Wystarczy zatrzeć grzeszmym tchnieniem Celestyny, by czysta miłość kochanków zamieniła się w zwykłe zaspokojenie fizycznego pożądania.

Kłaska kochanków następuje nie wtedy, gdy Kalkist ginie zaatakowany przez tłum, lecz już wcześniej. Gdy pofołgował swej namietności, gdy właściwie zrealizował swoje pragnienie, Kalkist jest smutny. Smutna jest także Melibe. Oboje czują agonie swej zbrukanej miłości. Jest to drama, bodaj większe od tego, który przeżyli kochankowie z Weroni. Romeo i Julia przez śmierć swoją zwyciężyli, Kalkist i Melibe przegrali.

Zwycięska pozostaje Celestyna. To nie, że zabije ją obłąkany Sempronio. Ten wymiar sprawiedliwości przychodzi zbyt późno. Z miłosnych dzieł Kalkista i Melibe nie się już ocalić nie da.

„Celestyna” Minca była więc inna, niż ta, którą nam pokazał Schiller. Inna także była wykonawczynią głównej roli — Zofia Rysiówna. Zamiast ohydnej staruchy, szepczacej swoje magiczne zaklęcia bezbrzydymi ustami, zobaczyliśmy Celestynę jeszcze niezestaszalą, żyjącą wspomnieniami zmysłowych poszukiwań i gorących pieszczot, których nie skapili jej liczni kochankowie. Na tym hymnie na cześć fizycznej miłości oparła Rysiówna swoją rolę.

Czy zagrała gorzej, czy lepiej od Chojnackiej? Przede wszystkim była inna.

WLADYSŁAW ORŁOWSKI

Władysław Orłowski

spektakle tygodnia

		Spektakli widzów proc.	
TEATR WIELKI	„Romeo i Julia”	1	1260 100
	„Królewna Śnieżka”	1	1260 100
	23. V. — 3. VI.		
II Łódzkie Spotkania Baletowe			
NOWY	„Życie jest snem”	2	1400 100
	„Szkoła kobiet”	4	2000 75
	„Za siedmioma górami”	1	600 90
	„Będę mówił szczerą prawdę”	1	300 45
MAŁA SALA	„Mąż i żona”	1	200 100
	„Rodeo”	3	600 100
	„Pelikan”	1	150 75
POWSZECHNY	„Henryk V”	1	660 100
	„Wszystcy moi synowie”	1	660 100
JARACZA	„Tajemniczy ogród”	6	3084 100
	„Kolumbowie”	2	900 88
7.15	„Żołnierz Królowej Madagaskaru”	3	1260 100
	„O krasnoludkach i sierotce Marysi”	2	844 100
OPERETKA	„Pierwioski”	4	2360 55
FILHARMONIA	Koncert symfoniczny	2	600 50

J. J.

Mierna konkurencja

W „Les Lettres Françaises” ukazał się artykuł specjalnego wysłannika tego piśmie na festiwal filmowy w Cannes, Michela Capdenac. Zamieszczamy fragment tego artykułu, dotyczący opinii o polskim filmie Andrzeja Wajdy „Krajobraz po bitwie”.

„W roku 1968 i 1969 wydawało się, że wiatr odnowy powiał nad Cannes, było to jednak krótkotrwałe złudzenie. Festiwal powrócił do swych starych praktyk: dyplomacji, rutyny i kombinacji. „Piętnastka realizatorów”, ulokowana w środku fortecy, jak Jonasz w wielorybie, manifestowała często

swój pogląd dekluszający oficjalną opinię”.

Michel Capdenac poświęca wiele uwagi polskiemu filmowi Andrzeja Wajdy „Krajobraz po bitwie”. Wy mowny jest sam wstęp recenzji: zdjęcie z podpisem „Nasz specjalny wysłannik, Michel Capdenac, ubolewa, że „Krajobraz po bitwie” Andrzeja Wajdy (zdjęcie) nie uzyskał nagrody, chociaż był jednym z najpiękniejszych filmów przedstawionych w czasie festiwalu w Cannes”.

A oto fragment recenzji, omawiający polskie dzieło festiwalowe:

„Polowanie na muchy” Andrzeja Wajdy, przedstawione w ubiegłym roku w Cannes, zawiadło nieco tanim estetyzmem, natomiast w „Krajobrazie po bitwie” polski twórca jest znów w apogeum natchnienia i talentu na miarę dzieła „Wszystko na sprzedaż”, które jest wrazem holdu dla niezjącego Zbigniewa Cybulskiego. „Krajobraz po bitwie” wyraża na nawrót i jednocześnie nową formę rozwoju bardzo osobistej tematyki Wajdy —

tragicznej wizji zrodzonej z ran wojennych, barokowego liryzmu i niepokoju.

Wajda odtwarza charakterystyczny i znamieny epizod dla powojennej historii Polski — wyzwolenie przez Amerykanów obozu koncentracyjnego w Niemczech. Po czątkowo obserwujemy wybuch radości (specjalny układ orkiestralny muzyki Vivaldiego, chłodne barwy zimy, tłum zgłodniały i rozentuzjasmowany, rozprawiający się z katami lub zasu chany, skostniały na śniegu, akordy niezwykłych skrzypiec chagalowskich), ustępujący wkrótce posępnemu oczekiwaniu na zaprowadzenie przez Amerykanów „po rządku” administracyjnego i politycznego. Wśród ocenionych zarysowują się różnice poglądów — jedni marzą o powrocie do kraju, aprobując zmianę ustroju, inni zaś przywiązani są do przeszłości sanacyjnej. Bohater filmu — w interpretacji Daniela Olbrychskiego, przy pominięciu niekiedy wrażliwością Cybulskiego, jest młodym intelektualistą — poetą, obojętnym na wszystko — interesują go jedy-

nie książki i jedzenie. Dla jego śmiertelnie okaleczonej duszy, godzinna wyobraźnia dzy przeszłością i przyszłością staje się nową udręką.

Idylla bohatera z dziewczyną żydowską, również wytraconą z życia, nabiera w filmie (opartym na opowiadaniu Tadeusza Borowskiego) znaczenia nie ograniczającego się do retrospekcji, lecz wyjaśnia refleksję zaprawioną gorczą aktualnych problemów.

Młodzi ludzie nie umieją się wyleczyć ze swych ran. Pochopny strzał wartownika amerykańskiego unicestwia możliwość powrotu do życia i miłości, rysującej się w czasie tajemnego wypadu obydwójka bohaterów filmu do sąsiadującego z obozem lasu. Reżyser z zadziwiającą subtelnością przedstawia pierwsze, niezreżymowane objawy miłości po wyjściu z piekła.

W końcowym fragmencie autor recenzji stwierdza: „Krajobraz po bitwie” przewyższa znacznie przeciętny poziom miernej konkurencji festiwalu w Cannes”.

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskretnie

ARTYŚCI ZNAJ BAJKALU

W jednym z ostatnich numerów radzieckiego miesięcznika „Iskusstwo”, poświęconego sztuce plastycznej, znajdujemy m. in. interesujący artykuł O. Woronowej o malarzach i grafikach w Buriackiej ASRR (rep. autonomiczna w Rosyjskiej FSRR-Syberia Wschodnia).

W Ulan-Ude stolicy Buriackiej ASRR pracuje wielu utalentowanych artystów, jednak uwaga autorki koncentruje się na czterech nazwiskach twórców. Kazanski, Dugarow, Sacharowska i Rinczino — oto plastycy, których twórczość Woronowa omawia bardziej szczegółowo. Są oni bowiem reprezentatywni dla plastycznego środowiska znad Bajkału. Wymienieni młodzi artyści, tego dalekiego i ciekawego kraju, brali udział w wielu wystawach zarówno w Buriackiej ASRR jak i w wystawach wszechzwiązkowych.



A. Sacharowska: Ilustracja do ludowego eposu buriackiego „Geser”

Twórczość tych artystów jest różna. Jak różne są ich indywidualności twórcze, ale łączą ich wspólne cechy jak sięganie do tradycji ludowych, przedstawianie pracy i życia ludzkiego w surowym klimacie, umiłowanie rodzimego krajobrazu. A. Kazanski uprawia malarstwo sztalugowe, a jego tematyką jest współczesność. Do najlepszych o-

siągnąć artyści zaliczani są: Rybacy Bajkału. Widzieliśmy trzeci rybaków o twarzach skupionych, ogorzłych od wiatru. Rybacy rozplątują sieć. W tle widoczne trzy ciemne, z czerwonymi podłużnymi pręgami łodzie, a w dali spieniona woda jeziora. Zwraca uwagę ciekawa kolorystyka obrazu, zestawienie barw, ciemna, prawie

czarna woda jeziora błyszcząca plamami białej piany i migotaniem słonecznego blasku. Łodzie, woda — stanowią zapasem interesu, rytmiczny element dekoracyjny. Na pierwszym planie pełne ekspresji postacie rybaków zaakcentowane zostały odciętymi od tła niebieskawymi i żółtawymi bluzami roboczymi. Kazanski wiele lat pracował nad tym swym płótnem. Sporządził wiele dziesiątków studiów i szkiców.

Głównym zainteresowaniem D. Dugarowa jest historia i obyczajowość jego rodzinnego kraju. Od dziecka zna świetnie i kocha okolice jeziora Bajkału. Niemal też od dziecka maluje. Jego najbardziej dojrzałym obrazem jest „Surowy kraj” — wizerunek pastucha ze stadem owiec w zaśnieżonym krajobrazie. Dugarow posługuje się dość jaskrawymi kolorami, dając im ciekawe zestawienia, ale ich dobór ogranicza zaledwie do kilku barw: czerwonej, niebieskiej, żółtej i ciemnobrązowej. Nie jest to wybór przypadkowy, lecz świadoma chęć nawiązania do tradycji sztuki ludowej. Bowiem właśnie te kolory stosowane są w sztuce ludowej Buriatów. Jednym z jego ciekawszych obrazów jest portret, o niezwyklej ekspresji i dekoracyjności, starego ludowego gawędziarza.

A. Sacharowska zaczęła swą karierę artystyczną od akwareli, potem przeszła niemal wyłącznie na grafikę. Jedną z jej najciekawszych prac i tak dotąd największym jej dorobkiem twórczym jest zilustrowanie ludowego eposu buriackiego pt. „Geser”.

S. Rinczino zajmuje się głównie sztuką dekoracyjną. Uprawia grafikę, projektuje tkaniny dekoracyjne. Jego zamieszkanie szczególne to ilustrowanie przepięknych legend i baśni buriackich. Od dwóch lat pracuje nad zilustrowaniem legend znad jeziora Bajkału.

MISTRZ KLAWESYNU

Klawesyn jest rzadkim dziś instrumentem muzycznym. Poprzednik naszego fortepianu, klawesyn był popularny w XVI do XVIII wieku. Za miast młoteczków jak w dzisiejszym fortepianie posiadał piórka szarpące struny. Wydawał dzięki temu delikatne i krótkotrwałe dźwięki. Dzisiaj niewiele jest ludzi, którzy umieją grać na klawesynie, a do prawdziwej rzadkości należą muzycy wirtuozi klawesynu. Jednym z nich jest Amerykanin Ralph Kirkpatrick. Chwilowo daje recitale w Paryżu, ale już wybiera



Ralph Kirkpatrick

się na dziesięciodniowe tournée po Stanach Zjednoczonych, potem znów na występy po Europie. Ten muzyk o łagodnym usposobieniu, ujmującym uśmiechu i żywym spojrzeniu mieszka na stałe w Old Quarry w Connecticut w Stanach Zjednoczonych. Jego dom, zawsze otwarty dla przyjaciół, jest małym muzeum, gdyż Ralph Kirkpatrick kolekcjonuje z namiętnością

ciąg prawdziwego zbieracza dzieła grafiki. Posiada grafiki Cezanne'a, Calotta i innych. Zbiera także programy swych wszystkich recitali. Pierwszy to z 15 maja 1930 roku kiedy Kirkpatrick dał swój pierwszy koncert na Uniwersytecie Harvardzkim. Tam to rozpoczęła się jego kariera mistrza klawesynu. Był uczniem Nadii Boulanger, Wandy Landowskiej, Guntera Ramin. Klawesyn jest instrumentem, który wymaga bardzo umiejętnego obchodzenia się z nim. Kirkpatrick nie godzi się na koncerty jeśli instrument nie jest najwyższej jakości. Kiedyś z tej racji odmówił koncertowania w Australii. U siebie ma pięć klawesynów, z których jeden jest ulubiony. Instrument ten to kopia klawesynu słynnego francuskiego wytwórcy tych instrumentów z osiemnastego wieku, Pascala Taskina.

Ralph Kirkpatrick w czasie kiedy nie wyjeżdża na koncerty wyklada na uniwersytecie w Yale. Lub swoją pracę pedagogiczną. Jest też autorem książki o Domenico Scarlatti (1685—1757) słynnym kompozytorze.

WYSTAWA EKSPRESJONISTÓW

W paryskim Muzeum Sztuki Współczesnej otwarta została wielka wystawa malarstwa ekspresjonizmu europejskiego. Pokazano na niej ok. 300 dzieł, w większości nigdy nie eksponowanych w Paryżu.

Wystawa obecna jest kontynuacją tej, która odbyła się w Paryżu w roku 1966, a która poświęcona była francuskiemu fowizmowi i początkom ekspresjonizmu niemieckiego. Wystawa obecna jest znacznie szerszą i obejmuje znacznie większy okres czasu. Ekspozowano tu dzieła od Gauguina i Van Gogha przez Muncha, Mondriana aż po Matisse'a i Picassa.



S. Rinczino: Rzeka Jenisej i Angara

W NIEDZIELI W NIEDZIELI

Show
w Radomsku

PIĘKNY DOM KULTURY — SKĄD SHOW SIĘ
WZIAŁ? — DOBRE WZORY I DOBRY MODEL —
„PA PA PARA...” — WARTO POKAZAĆ SZERZĄ
— POZYTYWNA FUNKCJA

Radomsko nie jest miastem, o którym wie się zbyt wiele. Kiedy wybie raleń się do tamtejszego Powiatowego Domu Kultury, mój znakomity kolega z Polskiej Agencji Prasowej powiedział: „Ach, Radomsko — meble gięte — ryby śnięte...” Ale mnie nie interesowały bujane fotele ani stan za rybniami w Warcie i Radomce. Ciekawił mnie show amatorskiego zespołu przy PDK, który — jak wiecie niesie — kontynuuje piękne tradycje kabaretu „Nietoperz”, najlepszego w swoim czasie amatorskiego zespołu województwa. Ostatnio jednak w „Nietoperzu” nastąpiła rewolucja pałacowa. Część przeszła pod o piekuncze skrzydła PDK i pod przewodnictwem inż. Janusza Niezabitowskiego wystąpiła z programem „QQLski show”.

Kupiłem więc bilet w kasie i zasiadłem na widowni pięknej, w Domu Kultury tak eleganckim i

wystawnym, że niejedno wojewódzkie miasto skreśliłoby się z zazdrości. Co prawda słyszałem, że dotacje PDK na działalność są najniższe w województwie — mówi się bowiem, że jeśli zbudowano tu najpiękniejszy obiekt kulturalny Ziemi Łódzkiej za okragle 18 milionów złotych — to Radomsko nie powinno narzekać. Niestety, często mamy takie właśnie sytuacje, że jeśli mówi się A za grube miliony, to potem nie chce się powiedzieć B, żeby te miliony mogły procentować szeroką działalnością. Nie skąpił Radomsko pieniędzy na imponującą inwestycję — nie należy chyba teraz — konsekwentnie — skąpić finansowych zastrzyków na działalność.

Radomszczański show zadziwił mnie i uradował. Poziomem i dowiecipem nie ustępuje renomowanym firmom, a tytułowy „QQLski” czyli Zygmunta Kukulskiego reprezentuje au-

tenityczny talent aktorski. Ale skąd show w Radomsku? Komentator Andrzej Rejment wyjaśnia nabież widowni: „pierwsza — w języku rosyjskim szał znaczy — szedł, drugie — Shaw, George Bernard — dramaturg światowej sławy, trzecie — show (Rejment literuje): es, ejcz, ol, dablju — w dowisko, pokaz — w stolicę do oglądania na Gnojnej, w krajach kapitalistycznych na Picadilly Circus, w dzielnicy Soho lub na placu Pigalle...”

A potem cały zespół rzecz wyjaśnia ściśle: „No i w tym sek — że ohożył pękt rozrywki masz niewiele — i stąd się wziął QQLski show w soboty i niedziele”

Mamy więc genozę programu. I trzeba przyznać, że radomszczański zespół zaprezentował widzom rozrywkę naprawdę w dobrym stylu i na wysokim poziomie. Ten amatorski przecież występ śmiało może konkurować z wieloma zawodowymi imprezami, a już o nieco wyższej stół od niektórych „zastronimie” — rozrywkowych” przedsięwzięć stolicy województwa.

Program zespołu PDK jest po prostu programem ambitnym. Rezygnuje z banału i powielania wzorów zawodowej estrady — jeśli już coś dubluje to ambitną twórczość studenckich featrików. Myślę, że w programie radomszczańskim jest coś

z pasją, zaangażowania i lekkości „studenckiego nurtu” estradowego. Dobrze to wzory, dobre konfakty, które do dziś utrzymuje szef Janusz Niezabitowski. Ten animator kulturalnego ruchu, obecnie inżynier budowlany — działał, o ile pamiętam, w Hybrydach czy Stodole za dobrych studenckich czasów. Na grunt Radomska przeszczepił Niezabitowski dobre wzory i dobry model rozrywki.

Tak sobie myślałem oglądając radomszczańskie show, kiedy usłyszałem piosenkę „Uśmiechnij się szarooka”. Pomyślałem wówczas, że trudno się szarookiej uśmiechać, kiedy słyszy taki tekst. Najbardziej udane jego fragmenty brzmiały: „pa pa pa para pa pa...” Ale i ta piosenka świadczy na korzyść programu — nawet ona nie osłabiła wartości widowiska.

Podając przykład jednej — choć może nie jedynej — niedobrej piosenki, chcę podkreślić, że „QQLski show” miał właśnie nieco słabszą stronę wokalną. Naomniast wszystkie teksty i sytuacje sceniczne osnuł wokół tytułowego bohatera autentycznie bawia.

Nie będę jednak cytował tych zabawnych dialogów, bo sam tekst nabiera dopiero ostrości i wyrazu na scenie — zwłaza w wykonaniu Zygmunta Kukulskiego. Ten aktor — amator ma niesłychane wyczucie i nerw sceniczny, ma autentyczny talent komiczny i

rzadką u amatorów umiejętność gry bez zbytecznego szarżowania. Zresztą cały zespół gra kulturalnie i jest prawdziwą przyjemnością oglądanie „gdzieś w powiecie” tak interesującego programu. Myślę, że szkoda tego widowiska tylko na trzy — cztery spektakle — myślę, że warto je pokazać gdzieś dalej.

Ale to już nie moja sprawa. Nie wiem, jakie są plany Janusza Niezabitowskiego i jego naprawdę — silnej grupy ze znakiem jakości. Wiem natomiast, że podróż do Radomska nie była straconym czasem. Na marginesie tego spektaklu i tej podróży warto zastanowić się nad funkcją tego rodzaju zespołów w środowiskach terenowych. Dają rozrywkę — w wypadku Radomska — ambitną rozrywkę. Są elementem ożywiania ruchu kulturalnego. Organizują czas młodym ludziom spragnionym działania w kierunku artystycznym. Dla wielu są swego rodzaju nobilitacją towarzyską i społeczną nawet.

A więc same pozytyw? Z pewnością można znaleźć i skutki ujemne, ale mam nadzieję, że sympatyczny ansambl z Radomska jako się przed nim ustrzeże. W każdym bądź razie, jeśli kto „w sobotę lub niedzielę” zawadzi o to miasto — niech skieruje się do kasy i kupi bilet na „QQLski show”. Warto.

JERZY WIDOK

Bez strachu

STÓŁ

Kiedyś, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, siedziałem przez lata całe przy tym samym stole, gramoliem się do tego samego stołu, spałem po niezmiennym podłożu. Każdego wieczoru abryzł mi jak lampy płonął nade mną tym samym płomiennem, kiedy mrużyłem oczy, światło układało się w te same promienie i ostre struny. W miarę upływu lat rozpoczął się kół mnie bieg przedmiotów. Zmieniały się pokoje, w których jadłem, spałem i syplałem, sufity, w które patrzyłem zmęczony.

Skarzyłem się przyjaciółcom, ale oni chwalił mi ją sytuację: „to dobrze — powiadał — dla człowieka piącego, poznasz różne wnętrza, różne sprząty, rozmaite światła i ciemności — to ciekawe, sprzyja ruchowi myśli i wyobraźni”. Pęd przedmiotów trwał — ot ten felieton piszę przy biurku, którym będę dysponował jeszcze przez dziesięć minut, skończę go przy stole, czy też biurku, które daremnie usiłuję sobie wyobrazić — jakie słowa będą mogły napisać schyłony nad nową powierzchnią? Zmieniają się także moje przyjaciele, kiedyś przyjaźniłem się z Jurkiem i przyjaźnił ta trwała przez dziesięć lat, a jej wspomnienie przeżywa życie. Teraz mam przyjaciół szerszych i uczynnych, ale krótkotrwałych, przez pół roku przyjaźniłem się z Janem i wiele od niego doznałem dobrego, ale oto Jan obrzucił się z nie znanego mi powodu. Oto siedzę już przy nowym stole, czuję lekkość pach sosnowego drzewa, drzę by ktoś nie uznał, że pisząc o stole mam jego na myśli, że chcę go znieślić, poniżyć, oskarżyć o nieistnienie. Nie ma granic w dowolności interpretowania tekstów, nikt nie wierzy w fikcję literacką; kiedy napisałem, że się wyprawdzam (nie w urzędowym podaniu lecz w utworze literackim) kilka osób rozpoczęło energiczne starania o moje mieszkanie, zdążyli się już nawet o nie posprzezać, ba, byli w redakcjach i sugerowali, by mnie nie drukować, bo przeniosłem się do Gdańska. Tymczasem bieg przedmiotów i zdarzeń trwa. Nie wystarczają słowa, ani stę nografowanie, pragnąłbym posiadać utrwalający dyktafon zdarzeń, ruchów drgnień. Wydaje mi się, że to ja stoję, a wszystko wyrwa mi się z rąk i pędzi w przestrzeń. Oto wiesz w próżni, bez ziemi pod nogami, bez pulpitu i mocno ścisnąjąc zeszty i długopis ciągle jeszcze piszę, utrwalam dane o biegu przedmiotów, które nie bacnie psychologiczowałem, powierzyłem im własne rzewne wspomnienia, lęki i nadzieje, karmiłem się sobą, aż do ożywienia, wreszcie ruszyli i dołem nie pragnę je powstrzymać. Ten nowy stół... czy zdąży ukończyć felieton? Wydaje mi się, że właśnie drgnął... Oczywiście od lot stołu będzie miał wykładnie racjonalną. Ktoś zapuka do drzwi i powie: „bardzo przepraszam, ale przez omyłkę wstawiono do pana pokoju stół z sąsiedniego pokoju, zabierze my i wstawimy właściwy”. A może wtedy uczeplić się stołu i krzyknąć: „Prez! To mój, bezgranicznie mój stół i nie pozwól go sobie odebrać. Jeżeli chcecie, zapytajcie go o zdanie, zwróćcie się do stołu!”

BERNARD SZTAJNERT

Alibi

Szeryf Ken Scott namyślał się, czy należy telefonować do F.B.I. Sprawa była skomplikowana, ktoś zamordował naukowca Ralfa Flashmana. Scott postanowił najpierw wykryć zbrodniarza.

Cztery mile od miasta, na wzniesieniu w Ross-Ablen mieszkali trzej uczeni, którzy w nowoczesnym urządzonej laboratorium przeprowadzali eksperymenty. Mówiono, że przystawiali aparat, który miał przetwarzać promienie słoneczne na elektryczność. Pracowali na konto prywatnej instytucji „Johnson Incorporated” w Baltimore, która finansowała kosztowne badania. Mieszkali w Ross-Ablen już od wielu miesięcy, jak trzech pustelników.

Była tam też kobieta — Lucy. Trzydziestoletnia brunetka przychodziła codziennie robić porządki i przygotowywała im posiłki.

Trzej uczeni nazywali się: Rudy Wayne, Ralf Flashman i Henry Duncan. Pewnego dnia Duncan wezwał telefonicznie szeryfa do laboratorium: znalazł w kuchni trupa Flashmana z przetrzezionym czołem.

Siedztwo ustalilo, że w momencie zabójstwa dwaj pozostali uczeni nie byli obecni w kuchni. Jeden przebywał w pracowni fizycznej na piętrze, drugi w piwnicy, gdzie znajdowało się pomieszczenie z maszynami halasliwie pracującymi. Nie słyszeli więc wystrzału pistoletu, który zabił ich kolegę. Co do Lucy, Scott upewnił się, że znajdowała się jeszcze w drodze do ich domu na wzgórze.

Scott zaprosił Lucy do biura i zadał jej mnóstwo pytań na temat trzech osób. Był także ciekawy, z kim zmarły kłócił się najczęściej.

— Z nikim — odpowiedziała Lucy. — Czasem się o coś sprzeczałam, ale nie mogłam ich zrozumieć. Raz słyszałam, jak Duncan powiedział do Flashmana: „Nie tylko ja jestem szlachetnym, lecz i ty, a także i Wayne”. A Wayne na to: „Teraz masz skrupuły? A dlaczego nie pomyślałeś o tym wcześniej? Teraz już lepiej nie myśleć o tej całej historii!”.

— Czy ktoś z nich przyjmował jakichś gości? Listy? Telefony?

— Nikt — odpowiedziała słu-

żka. — Czasem zadzwonił telefon, lecz byli to panowie z firmy. Poza tym niedawno pan Duncan dał mi list, abym wrzuciła do skrzynki. Był adresowany do jego syna Stefana, który mieszka w Baltimore.

— Ma syna?
— Tak. Mówił często: „Gdyby się o tym dowiedział mój syn”...
— Dowiedział — o czym?
— Nie mam pojęcia.

To było wszystko, co mogła powiedzieć Lucy. Ale Scott był zadowolony i prosił policję w Baltimore, aby zawiadomiła Stefana Duncana, że pragnie mu złożyć wizytę.

Scott pojechał tam po pogrzebie Flashmana. Najpierw udał się do firmy „Johnson Inc.”, aby zasięgnąć informacji na temat pracy trzech uczonych.

— Miejscowość sami wybrali — objaśniał dyrektor — doświadczeni uczeni byli już zakończono. Choć dźło jeszcze tylko o pewne uzupełnienia dla produkcji na skalę przemysłową. Zobowiązali się dostarczyć sprawozdanie za miesiąc, a firma miała im wypłacić, a firma miała im wypłacić, w myśl umowy, po dwa tysiące dolarów na osobę. Należał im się także udział w zyskach przy sprzedaży ich wynalazku.

— Nie znam się na tym, czy to ważny wynalazek?

— Tak jest, szeryfie, bardzo ważny. Niech pan sobie wyobrazi auto, które może jechać przy pomocy motoru elektrycznego zasilanego urządzeniem, które mieścił się na dachu wozu. Energia słoneczna przetwarza się w energię elektryczną.
— Ile w sumie zarobili by trzej uczeni?
— Prawie milion dolarów.

Następnie Scott odwiedził Stefana Duncana, który kierował oddziałem firmy „Johnson Inc.”
— Czym mogę panu służyć? — zapytał młody inżynier.

— Na ojcu pańskim ciążył podejrzenie kradzieży, będące o musiał oskarżyć na podstawie zeznań służącej Lucy. Nie wiem jaka to kradzież, ojciec nie chce rozmawiać na ten temat, tak samo jego kolega Wayne. Jeżeli pan coś wie, proszę mi powiedzieć.

— Czy pan sądzi, że mój ojciec zabił Flashmana?

— Mogł to także uczynić Wayne. Muszę najpierw wykryć motyw zbrodni. Tymczasem wydaje mi się, że motywem była kradzież.

— Powiem panu wszystko. Ojciec ma 55 lat, jest wdowcem. Niedawno poznał młodą i piękną kobietę, Sheillę Balton. Stracił głowę, wydał na nią wiecie pieniądze. Gdy popadł w dług, Sheila porzuciła go. Ojciec starał się zdobyć pieniądze żeby odzyskać tę kobietę. I wówczas popełnił kradzież na moją szkodę.

— Na pana szkodę? Jak to rozumieć?

— Generator elektryczny jest

moim wynalazkiem, pracowałem nad nim przez wiele lat. Pewnego dnia ojciec przedstawił mój projekt firmie „Johnson Inc.” i sprzedał go jako swój. Ponieważ należało jeszcze udoskonalić obiekt dla celów przemysłowych, firma przydzieliła ojcu dwóch specjalistów. Cała trójka przeniosła się do Ross-Ablen, żeby kontynuować badania. Mojego ojca dręczyły wyrzuty, chciał włączyć mnie do prac badawczych, lecz koledy sprzeciwił się ze względu na pieniądze. Jestem pewny, że ojciec nie zabił Flashmana. Mógł to zrobić Wayne, aby mieć większy udział w zyskach. Teraz życie ojca jest w niebezpieczeństwie...
Rozmowa wydawała się logiczną. Szeryf przypomniał sobie o tym, gdy przybył do Ross-Ablen. Na lotnisku oczekiwał go zastępca z tragiczną wiadomością: — Godzinę temu znaleźliśmy Duncana na moście z przetrzezionym czołem.

Szeryf skamieniał. Już wcześniej obawiał się, że Duncan może być zabity przez Wayne. W czasie badania Wayne energicznie zaprzeczał.

— Gdzie jest pistolet, którym zabił Flashmana, a potem Duncana? — pytał Scott.

— Wasze metody umożliwiają zabójcy ucieczkę! — krzyczał Wayne. — Tak Flashman, jak i Duncan zostali zamordowani przez kogoś, kto nie ma nic wspólnego z naszą pracą. Szukajcie między znajomymi Lucy... Co wam powiedzieć, do diabła? Jestem niewinny!

Umie się bronić ten człowiek — myślał szeryf.

— Przybył pomocnik szeryfa. — Czy możemy zabrać trupa z mostu? — zapytał.

— Poczekajcie, jeszcze go nie widziałem — sprzeciwił się Scott. — Już tam idę.

Zostawił Wayne pod strażą i udał się na most.

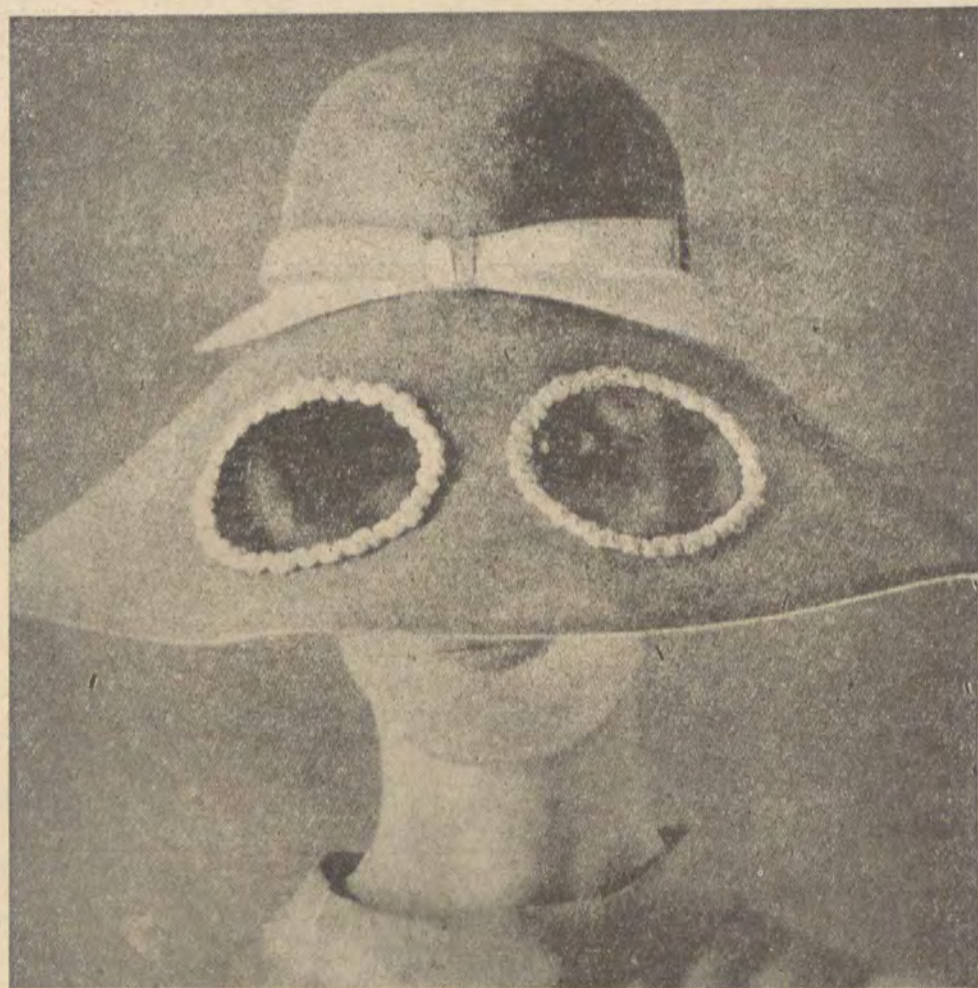
Specjaliści z policji już wszystko skontrolowali. Stwierdzono, że strzał w głowę Duncana padł z bliskiej odległości. Szeryf obserwował pozycję zmarłego. Trup leżał w poprzek mostu, głowa zwisała nad wodą.

— Dziwnie to wszystko wygląda — mruzczał szeryf. — Czy coś wiadomo o pistolecie?

— Nie znaleźliśmy — odpowiedział zastępca szeryfa Hendrix. — Wayne wiedział, że jest podejrzanym, a jednak wykonał swój diabelski plan. Jak mógł teraz popełnić dwie zbrodnie?

Szeryf badał pozycję ciała Duncana i kiwał głową. Wreszcie rzekł: — Hendrix, sprowadź szybko nurek, muszę zbadać dno rzeki. Potrzebny mi jest także długi drąg.

Pomocnik spojrzął zdziwiony na swego zwierzchnika. Co to wszystko znaczy? Lecz szef nie miał zwyczajów tłumaczyć się ze swych decyzji. Sprowadzono nurek z tyką. Szef wziął ich



na bok i powiedział: — Szukajcie tuż pod mostem. Powinniście coś tam zobaczyć. Woda jest niegłęboka i prawie stojąca. Ale proszę niczego nie dotykać...
Nurek zagłębił się, wszyscy obserwowali ich z ciekawością. Nagle jeden z nich wypluł na powierzchnię i krzyknął: — Szeryfie, znalazłem! Na dnie leży pistolet!

— Zostań tam, gdzie jesteś — rozkazał Scott. — Weź tykę i wsadź jej koniec w miejsce, gdzie jest pistolet.
Nurek zniknął pod wodą, drugi koniec tyki trzymał Scott na moście. Po chwili nurek wypluł tykę. — Już przymocowałem — rzekł. Scott ustawił tykę pionowo do wody. Drugi jej koniec znalazł się w pobliżu głowy Duncana, dotykał jego prawej ręki. — Widzisz? — zwrócił się szeryf do swego pomocnika.

— Ależ to znaczy, że pistolet wypadł z ręki Duncana! — zawołał zdumiony Hendrix. — Czyżby to on trzymał pistolet?
— Tak — odpowiedział Scott. Rozkazał fotografowi, aby zdjął pozycję tyki. Następnie nurek wydobyl z ręki pistolet.

Wrócili do biura. Scott zebrał swych pracowników i wyjaśnił im sprawę śmierci Duncana. — Było to samobójstwo — rzekł

— Duncan zabił Flashmana, potem siebie, lecz w taki sposób, żebyśmy podejrzewali drugą zbrodnię. I ktoś mógł być jej wykonawcą? Pozostał tylko Wayne. Duncan chciał oskarżyć Wayne o dwie zbrodnie i w ten sposób przeszkodził, aby otrzymał pieniądze za wynalazek i eksploatację prądnic. Wayne zostałby aresztowany i skazany na śmierć. Wszystkie pieniądze odziedziczyłby młody Duncan... Duncan męczył wyrzuty, że okradł syna z wynalazku. Zdawał sobie także sprawę, że namiętność do Sheill Balton zdegradowała go coraz niżej, zniszczyła także syna. Wołał z tym skończyć. Lecz pragnął, żeby syn mógł korzystać z owoców swego wynalazku i wy kombinował potrafną śmierć całej grupy...
— W jaki sposób popełnił samobójstwo?

— Pozycja jego ciała na moście wydała mi się podejrzana. Człowiek, który otrzyma kulę w głowę, będzie inaczej leżał. Tymczasem Duncan, jak widzieliśmy, wyciągnął się w poprzek mostu, wysunął głowę i prawą rękę nad wodę. Gdy już był pewny, że wymierzył luź do kładnie w kierunku skroni, nacisnął spust. Ręka otworzyła się i pistolet wpadł do wody.

— W ten sposób woda miała zmyć także odciski jego pal-

ców — uzupełnił Hendrix.

— Nie tylko to. Samobójca nie może usunąć broni. Duncan myślał, że prąd rzeki uniesie z sobą pistolet. Lecz woda plynie tu bardzo powoli, nie przesunęła pistoletu nawet o centymetr, jak widzieliśmy z położenia tyki. Jestem także pewny, że Duncan przed śmiercią napisał list do syna.

Istotnie w kilka dni później policja dowiedziała się, że Stefan otrzymał list od ojca. Zaczynał się tak: „Drogi Stefanie, jestem w niebezpieczeństwie. Ten szaleniec Wayne, po zabiciu Flashmana, czyha na moje życie. Jeżeli mi się coś wydarzy, wiesz na kogo skierować badania — policję. Pamiętaj także, że w razie mojej śmierci ty pozostaniesz jedynym spadkobiercą korzyści przypadających z wynalazku słonecznego generatora. Powiedz dziennikarzom i wszystkim innym, że pomyślnie generatora jest twój, a ja... a właściwie my trzej ukradliśmy bezwstydnie twój pracę. Przebac mi, synu! Pragnę, aby świat dowiedział się, że jesteś prawdziwym geniuszem...” Dalej następowały słowa pożegnania.

Duncan przemyslał wszystko, lecz nie wiedział o doświadczonego oku szeryfa Kena Scotta.

Oprac. A. S.



Lewym okiem

KLYŚ I STYS

Pozwólcie jeszcze raz na temat od A do Z urzędniczy. Wprawdzie przypomina mi się od razu strosząca uwaga, jaką w swoim czasie usłyszałem w pewnym wydawnictwie przy okazji omawiania utworu, w którym dwie czy trzy strony zajmowała dość fachowa i hermetyczna dyskusja dwóch urzędników: panie, tego nikt poza środowiskiem nie zrozumie! Mogłem jednak już wtedy — i mogę dziś — odpowiedzieć, że urzędników mamy w kraju około dwóch milionów — wystarczy, jeśli co dwudziesty z nich przeczyta, a co setny zrozumie; że ponadto są przecież utwory, których w ogóle nikt nie rozumie i też dobrze. Więc jeszcze raz — o urzędnikach, i to tylko takich z aparatu gospodarczego, bez administracji, banków, poczty i instytucji podobnych. Otóż tak:

Podzielono instytucje zarządzania — nazwijmy je dla skrótów zjednoczeniami — na trzy kategorie. Dla każdej z nich ustalono osobną tabelę wynagrodzeń, w której z każdym stanowiskiem pracy związane są odpowiednie „widelki” wynagrodzenia podstawowego. Dla przykładu: w zjednoczeniu kategorii A naczelnik wydziału może zarobić od dwóch i pół do czterech tysięcy złotych miesięcznie, jego zastępca znów

od do, ma swoje „widelki” starszy inspektor, inspektor i referent.

Wiadomo, że wydział wydziałowi nierówny. W jednym pracują dwie osoby plus naczelnik, albo nawet jedna i naczelnik, w drugim — trzy dzieści plus naczelnik. Oczywiście — zakres pracy jest odpowiednio różny, raz mały, raz wielki. Ale obaj naczelnicy są w tych samych widelkach, a ponieważ stopniowo awansują, po jakimś czasie obaj są na górnej granicy i obaj zarabiają identycznie, chociaż ich pracy ani po równać nie można.

Co zaś do awansów: w granicach widelków wolno podnieść pracownikowi płacę nie częściej, jak raz na dwa lata. W praktyce dzieje się tak, że około Nowego Roku lub 1 Maja dyrekcja instytucji rozdziela jakąś tam sumę, jaką uzyskała z resortu na podwyżki plac, pomiędzy wydziały. No i dla przykładu naczelnik wydziału, zatrudniającego osiem osób otrzymuje polecenie zgłoszenia wniosków na podwyżki w granicach czterysta złotych. Co robi naczelnik?

Ma świetnego pracownika Kłysia, ale Kłysł jest na górnej granicy starszego inspektora. Ma dobrego Stysia, ale Stysł dostał przed rokiem sto złotych, bo więcej nie było, i musi jeszcze rok poczekać. Jest panna Płysiówna, ale jak jej dodać dwieście, to przeskoczy Misiównę, która jest magistrem. Misiównie nie można dodać, bo przeskoczy Stysia, a Stysł pracuje dwadzieścia lat. Bryś nie odczekał jeszcze dwóch lat. Pozostają Zbysł, Gryś i Kowalski. Oczywiście żaden naczelnik nie zrezygnuje z przyznanej kwoty, bo to by było równaniem w dół. Więc czterysta złotych dzieli się pomiędzy Zbysia, Grysia i Kowalskiego i ma się ich z głową na dwa lata. Przy następnym styczniu lub maju podobna historia się powtórzy. W konsekwen-

cji — wszyscy pracownicy ciągną się łeb w łeb na tym samym poziomie plac, bez względu na zdolności, pracowitość i zwykłą ochotę do czegośkolwiek. Jeśli któryś już absolutnie podpadł i naczelnik woli nie skorzysta w ogóle z pieniędzy (a to bardzo nietaktycznie wobec dyrekcji) niż dać gościowi tę setkę czy dwie — no, to taki odchodzi. Przychodzi nowy o czterysta złotych droższy, a nie wiadomo, czy lepszy.

Pomiędzy instytucjami — nawet z różnych kategorii — nie ma takich różnic w tabelach, żeby ktoś dla samej różnicy w uposażeniu pod stawowym piął się do awansu, zmieniał pracę, wysiłał się itd. Młody, zdolny człowiek zostaje tym naczelnikiem, dadzą mu górną granicę — bo dlaczego nie, skoro poprzednik miał, inni naczelnicy (tuż przed rentą) mają, pieniądze są — i już go nie więcej nie czeka, chyba że dyrektorstwo. Nie warto się wysilać. Więcej nie będzie.

Więcej może być, ale nie z pensji. Prawo dżiwne różnice i bodźce tkwią w „możliwościach”: wyjazdy, racjonalizatorstwo, komisje, prace zlecane, premie zwykłe i eksportowe. Otóż i to są czynniki dopingujące. Otóż i tu przy czyną główna nadgodzin, niedziel, świąt itp., a także zaniedbywania normalnej, bieżącej pracy, a także ucieczki zdolnych ludzi z biur i wydziałów, gdzie „możliwości” nie ma.

Tylko to chciałem powiedzieć jako bardzo prywatny głos w dyskusji. Tylko to: że nie byłoby najlepiej, gdyby placą zasadniczą, ta własnie za zasadniczą, najważniejszą pracę, stała się najmniej ważną częścią uposażenia i przestała odgrywać rolę bodźca. Dziękuję.

CWIEK